

STER

TYGODNIK ŻYDOWSKI DLA SPRAW POLITYKI I KULTURY

Adres Redakcji i Administracji:
WARSZAWA
Królewska 29A, tel. 301-62
skrz. poczt. 113
KONTO P. K. O. Nr. 4.043

Godziny przyjęć: codziennie prócz
sobót i niedziel — Redakcji
i Administracji 11—14.

Rękopisów nie zwraca się.

Treść numeru:
DR. MAYER EBNER: Im lo? Jeśli nie?
DR. GUSTAW KROJANKER: Chaim Weizmann
INŻ. A. GLIZER: Zmiana taktyki?
LEGENDS: Od Miłości do Wolności
DR. FELIKS WELTSCH: Ogólny syjonizm
OUTSIDER: Pieśń niedokończona
DR. MOJŻESZ WEISSMAN: Walka ze swastyką i neopogaństwem
ROMAN BRANDSTAETTER: Iana Iliada (wiersz)
J. BLEIBERG: Kulisy życiowej gry
DR. M. KRÄMER: Dr. Schwadron i jego zbiory
TEODOR HERZL: Ogród ludzki
DR. S. STENDIG: Anglia rządzi Palestyną
ROMAN BRANDSTAETTER: Melpomena i Weterynarz
J. LESER: Terror arabski
J. ERNICZ-HOMANSKA: Muzyka a wywczas
T. S.: Recenzje filmowe — Wydarzenia i odgłosy, Antena świata

12 września 1937

WARSZAWA

7 tiszri 5698

Dr. MAYER EBNER

IM LO? JEŚLI NIE?

Aż do znudzenia słyszeliśmy w trakcie obrad zurychskich powtarzanie argumentów, przemawiających przeciw projektowanemu Państwu Żydowskiemu. Przywódcą oponentów był *Usyszkin*. „Neinsagerzy” często imponowali wspaniałymi mowami, albowiem wdzięcznie było uzasadniać „nie”, aniżeli „tak”. Z ust *Usyszkina*, uwielbionego bez wyjątku przez wszystkich, przemawiało głębokie przekonanie, ale ja odniosłem wrażenie, że On nie był w stu procentach przekonany o absolutnej słuszności swych słów. Albowiem — *Usyszkin*, jakim Go znamy i szanujemy, obdarzony w najwyższym stopniu właściwością uporu, doprowadziłby do ostatecznych konsekwencji, gdyby pogląd swój uważał za absolutnie słuszny i sprawiedliwy. Także *Stephen Wise*, który swą ostatnią mowę zakończył trzykrotnym „nie”, nie wyciągnął z tego „nie” ostatecznej konsekwencji. Przynosi też zaszczyt rzecznikom „Neinsager”, że pozostając wierni swemu punktowi widzenia, podporządkowali się większości Kongresu. Albowiem także na ich barkach spoczywał ciężar odpowiedzialności, a przyswiewiało im przeświadczenie o niedolności człowieka do odsłaniania tajemnic przyszłości.

Przysłuchując się debacie politycznej, szczególną uwagę poświęciłem myśli, zawartej w słowach „im lo” — jeśli nie. Co będzie, jeśli my, syjoniści, odrzucimy propozycję rządu angielskiego? Na ten słaby punkt w — poza tym ważkiej argumentacji „Neinsagerów”, zwróciłem największą uwagę. Jak pięknie brzmiały mowy *Usyszkina*, *Stephen Wise’a*, rabin *Berlina*, rabin *Silvera*, rabin *Goldbluma*, dra *Schwarzbarta* i wielu innych; kiedy jednak dochodzili do punktu, który ja nazwał „im lo” — jeśli nie, mowy ich stawały się słabsze, albo też mówcy starali się wzmacniając ton, przeskoczyły przez ten trudny punkt. Jakież charakterystyczne jednak były dla krytycznego ucha obawa i słabość mówców, gdy próbowali zobrazować — co będzie, jeśli większość Kongresu odrzuci plan podziału. Należy walczyć o wypełnianie Mandatu! Ale w jaki sposób, kiedy mandatariusz chce się pozbyć tego uciążliwego Mandatu? Co wtedy?

Na te ciężkie kwestie życia i śmierci naszego ruchu nikt z „Neinsagerów” nie potrafił udzielić trafnej i przekonującej odpowiedzi. W tym też było źródło ich słabości. Toteż każdy „Neinsager” mógł podświadomie radować się, że po przegłosowaniu obu rezolucji pozostał w mniejszości. „Nie” — oznaczałoby zastój osiedla żydowskiego w Palestynie. To doprowadziłoby do cofania się i beznadziejnego zwątpienia. Dlatego rozsądek dyktował wybór mniejszego zła. A małe, choćby, Państwo Żydowskie jest we wszelkich warunkach mniejszym niebezpieczeństwem.

Zresztą, można bardzo dużo dodatnie powiedzieć także o małym Państwie Żydowskim. Palestynczycy, jak *Mosze Smilański*, *Soskin* i in., operowali milionowymi cyframi. *Weizmann*, mądrzejszy i bardziej trzeźwy, mówił tylko o dwóch milionach, które będzie można osiedlić na przestrzeni 20 lat w małym Państwie Żydowskim. Niesłusznie też miano *Weizmannowi* za złe, gdy powtórzył powiedzenie, poczynione przezeń przed Komisją *Peela* — w szczytowej chwili nawet nierozważnej — o dwóch milionach młodych Żydów, dwóch z półtora do sześciu milionów, które pragnie uratować. *Weizmann* nie jest człowiekiem, lubującym się w głośnym frazesie. Przy całym swym idealistycznym nastawieniu stoi on na gruncie realnych faktów. Istotnie też, będziemy musieli ponieść nie mało wysiłków, nim w ciągu dwudziestolecia przesiedlimy do Państwa Żydowskiego 2 miliony Żydów.

Co będzie wtedy? Można na to odpowiedzieć: pozostawiamy to przyszłości, następnej generacji i Bogu Izraela. Sądzę, podobnie jak wielu innych, że sąsiednie państwa arabskie będą poważnie

zainteresowane w imigracji żydowskiej, i, że z biegiem czasu zdobędziemy gospodarczo i pokojowo tę część Bliskiego Wschodu aż po Eufrat i Tygrys. Tak więc większa część żydostwa wschodnio- i środkowo-europejskiego w ciągu dwóch, trzech pokoleń powróci do krajów, leżących po obu stronach Jordanu. Czy tak się stanie? Musimy w to wierzyć, jeśli nie chcemy wpaść w całkowite zwątpienie w obliczu wzrastającej, du-

Dr. Gustaw Krojanker

CHAIM WEIZMANN

Mowy Weizmanna, które ukazały się ostatnio, obejmują okres 35-lecia (1901 — 1936). Jest to znaczna część, miejmy nadzieję daleko jeszcze niedokończoności żywota a zarazem wielki okres w historii ruchu syjonistycznego. Mowy te stanowią po za tym coś więcej — są dokumentem ludzkim, świadectwem wielkiej osobowości. Chciało by się traktować mowy Weizmanna jako ilustracje do praktyczno-politycznej pracy męża stanu, oddzielić więc czyn od słowa, który ten czyn interpretuje i któremu ciągle towarzyszy. Odnosić się to może do jednej i to dość nieznacznej części jego mów. Albowiem słowo mówione spełnia szczególną funkcję w społeczeństwie demokratycznym, a do tego jeszcze — żydowskim. Jest ono niemal źródłem politycznego działania. U nas chodzi nie tylko o to, aby, jak to się dzieje u innych narodów, przy pomocy siły przekonywującej słowa zdobyć większość, która zgodziła by się na wykonywanie praktycznych zadań i najrozmaitszych funkcji. My musimy się jeszcze starać o stworzenie samego narodu, w którego imieniu występujemy. Nie zamykamy oczu na fakt, że istnieją w narodzie siły wielkie i wspaniałe ale są one niestety jak dotychczas — uśpione. Dlatego żadna praca polityczna nie może być podjęta z należytym rozmachem zanim nie rzucone zostaną iskry, które te siły wyrwą z apatii i gnuśności.

Ten, który w Weizmanie widzi jedynie człowieka obdarzonego zdolnością reprezentowania naszych postulatów i żądań wobec polityków świata, nie zdaje sobie sprawy z jego wielkości. Albowiem donioślejsze są te żądania, które kieruje *Weizmann* pod adresem żydostwa. Doniosłe jest to, że *Weizmann* pierwszy bodaj zrozumiał, iż jakikolwiek sukces polityczny pozostanie tylko pustą formułą, dopóki nie wypelnimy go treścią materialną i duchem. Przez długie lata *Weizmann* nieustrudzenie wędrował z Londynu do New Yorku, z New Yorku do Jerozolimy, z Jerozolimy do Czerniowic i znowu do Londynu, aby tę prostą myśl nieustannie wlać do serc i mózgów żydowskich. Celem *Weizmanna* nigdy nie był spacer z Great Russel Street do Downing Street, lecz przede wszystkim miał na względzie moralne wychowanie narodu, dla którego prowadził politykę. A dzieła tego dokonywał słowem. Dlatego czyn i słowo stanowią u niego jedną nierozdzielalną całość, dlatego znaczna część jego mów nie jest tylko pobocznym produktem jego dzieła, ale organiczną częścią pracy jego i wysiłków.

Mamy więc do czynienia ze specyficzną syntezą. Używając określenia MAŻ STANU, możemy nim obok Herzla obdarzyć jedynie *Weizmanna*. Ale Herzl mało wiedział o narodzie żydowskim. Nie znał ani

chowej i cielesnej nędzy żydostwa.

Minęły już wielkie i piękne dni Zurychu. Minęły też dni Marienbadu, gdzie zebrali się nasi agudowscy przeciwnicy, by zaprotestować przeciw temu, że syjoniści wzięli sobie m o n o p o l przy decydowaniu o losach Palestyny. Przy tej sposobności chcieli też oni rozwinąć „szala-teszuwa”: czy Państwo Żydowskie jest koszerne czy trefne? Trzeba

jego rzeczywistej siły, ani uśpionych w le-targu możliwości. Może życie Herzla było zbyt krótkie na to, by mógł on tego wszystkiego doświadczyć. Rzeczywisty, żyjący naród z jego bólami i aspiracjami, jego siłą i marzeniami — nie stanowił realnej pozycji w politycznym planie Herzla. *Weizmann*, zanim stał się *Weizmannem*, był — by użyć jego własnych słów — litewskim chłopcem z chederu, a to oznacza: częścią składową nieznanego Herzlowi narodu. *Weizmann* kroczył drogą odwrotną do Europy — wyrósł z chłopca chederowego na męża stanu. Jeśli już w młodych latach *Weizmann* głosił teoretyczną konieczność syjonizmu syntetycznego, a więc politycznego i praktycznego, to dawał tym tylko wyraz owej doskonałej syntezie, którą sam uosabiał i która jest najczystsza formą syjonizmu. Albowiem syjonizm jest zarazem i jednym i drugim. Zachowuje sentyment dla chederu, ale jednocześnie zrywa z nim, potępiając kategorycznie warunki zewnętrzne jego bytu. Jeśli zaś potrafimy wskazać na pewne osobistości, które potrafiły połączyć w sobie harmonijnie ducha zachodniej Europy z żydostwem, to żadna z nich z wyjątkiem *Weizmanna* nie dokonała tego na polu — politycznym. Albowiem dziedzina polityki była dla nas do niedawna i po części do dziś pozostała — najbardziej odległą dziedziną. W tym kierunku nie posiadamy żadnego dziedzictwa, żadnej tradycji. Tu dokonujemy skoku z jednego świata — w drugi... Nie posiadamy zmysłu politycznego, brak nam zdolnych, dojrzałych polityków. Polityk formatu *Weizmanna*, który wyrósł z serca ludu, należy u nas do niezwykle rzadkich. *Weizmann* jest więc pierwszym, prawdziwym mężem stanu w społeczności żydowskiej.

Przypisać należy wielkiemu szczęściu, że rozwój wypadków historycznych wysunął właśnie tego męża stanu na odpowiedzialne stanowisko polityka i obrońcy naszych spraw wobec Anglii. Nie trzeba się na tym miejscu długo rozwodzić na temat sympatii Anglików dla naszego ruchu wyzwolenieckiego, są to rzeczy wszystkim dobrze znane. Z drugiej jednak strony nie wolno zapomnieć o tym, że sposób politycznego rozumowania *Weizmanna* jest szczególnie bliski Anglikom. Sposób ten nie trudno określić, posługując się metodą negatywną. *Weizmann* pozbawiony jest doktrynizmu, sztywnych zasad i krępujących systematów. Pozytywnie można go określić: jest to polityk, który potrafi dostosować się do nakazów chwili, który stawia elastyczne kroki w każdej, nawet najtrudniejszej sytuacji. Są to cechy tak bardzo nieżydowskie, jak nieżydowska była dotąd w ogóle dziedzina polityki. Żyd jest z natury swej doktrynerski i fanatyczny, śmiało rzec można, że jest on

pióra *Heinego*, by w odpowiednim świetle zobrazować „dysputy” tych bogobojnych i uczonych mężów! Dziejopisarz żydowski wyda kiedyś potępiający sąd o zachowaniu się tej odmiany naszych pobożnych, którzy w ciężkich chwilach usiłowali napisać nas z tyłu. Ale już teraz cała prawie prasa żydowska odpowiedziała z ironią na protesty i „zapytania” marienbadzkiego zgromadzenia dostojnych bród agudowskich. Mieli oni

raczej gotów umrzeć dla idei, niż żyć dla niej produktywnie. Życie bowiem nigdy nie może pozostać w absolutnej zgodzie z ideą i jej całkowicie odpowiadać, dopiero jej rezultat może się z życiem zbratać. Podobnie dzieje się z pracą polityczną, która w małym tylko stopniu pokrywa się z ideą, będącą przecież promotorem każdej działalności. Ale właśnie to kształtowanie rzeczywistości politycznej dzień za dniem i wiara w celowość tej żmudnej pracy stanowią istotę wielkiego polityka. Jest to też istotą *Weizmanna*, w którym objawił się nowy typ Żyda, jakiego nam brakło od całych stuleci. Człowiek, kształtujący rzeczywistość.

Czytając mowy *Weizmanna* stwierdza się, że na tle najrozmaitszych sytuacji oraz w postaci wciąż nowych sformułowań, stale przebiega się ta sama myśl: wiara w rzeczywistość, świadomość realnych faktów oraz zadziwiająca umiejętność posługiwania się nimi. Może zbyt bliscy jesteśmy codziennej walce, by móc ocenić jakie ogromne wychowawcze znaczenie posiada właśnie ta strona działalności *Weizmanna*. Ale historyk, który próbuje opisać jak naród ghetta został odrodzony przez marzycieli i jak w swe dłoń ujął ster własnych losów, będzie zmuszony obojętnie propagatora czynu Teodora Herzla wymienić także realizatora tych czynów — Chaima *Weizmanna*.

Właśnie owa charakterystyczna mieszanina entuzjazmu i opanowanej woli, płomiennych słów i zimnej logiki sprawia, że mowy *Weizmanna* posiadają specjalny czar i siłę przekonującą, siłę, która nawet onieśmiela przeciwników. Właśnie z tej przyczyny, że mowy jego są tak bardzo wyzute z wszelkiej frazeologii a jednocześnie nie pozbawione ognia, logiki i rzeczywistości, wyczuwamy z tego, co mówi — wielką namietność i pasję walczącego człowieka, trzeźwego polityka i męża stanu.

Mowy *Weizmanna* powstały w ogniu walki i w najcięższych chwilach zmagania żydostwa o elementarne prawo do życia. Domagają się one zatem przeobrażenia dawnej psychiki żydowskiej, chcą stworzyć nowego Żyda.

Tak więc główną cechą sylwetki politycznej *Weizmanna* jest jego zdolność do ciągłego budzenia narodu, do sprowadzenia go z wyżyn fantazji na twardy grunt rzeczywistości. Nieraz zadawano pytanie skąd ten człowiek czerpie ową moc i siłę niegasnącą, która nie pozwala mu spocząć, która gna go z jednego kontynentu na drugi. Sam *Weizmann* kiedyś powiedział: „staram się w ciągu trzech miesięcy skoncentrować pracę całego roku, staram się podwoić lata i dni”...

Tak powiedzieć mógł tylko człowiek, w

możliwość przystąpienia do Agencji Żydowskiej i współdecydować o losach Palestyny. Odrzucili jednak zaproszenie i czynili wszystko, by przeszkadzać naszemu dziełu odbudowy.

Czy Państwo Żydowskie jest koszerne czy trefne?

U nas, syjonistów, pytanie to brzmi inaczej: „Być albo nie być — oto jest pytanie!”

którym plonie irrealla, mistyczna wizja przyszłości, o której mówić nie należy, bo to oznaczało by profanowanie ustami najświętszych tajemnic serca.

Weizmann opisał swe spotkanie z Emirem Fejsalem. Opisał wędrówkę swą po pustyni i uczucia jakie go wtedy opanowały. Było to przeżycie wzięte wprost z tysiąca i jednej nocy. „Jak stary Abraham zbliżałem się do kraju, który Bóg przyrzekł wybranemu narodowi. I tak jak on przeszedłem przez kraj Moabitów, by objąć w posiadanie kraj nam przyrzeczony. I oto upłynęło dwa tysiące lat, a zdawało mi się, że to ledwo wczoraj było. Było to ledwo wczoraj, gdy nasz praojciec Abraham stał po tej ziemi w sercu mając Boga i obdarzony Jego błogosławieństwem. Wtedy zrozumiałem, że wszystkie lata naszej poniewierki były niczym, przepaść została zasypana”. Oto była ojczyzna, oto była prawda, objawienie i spełnienie wyrosło w sercu największego naszego męża stanu i polityka.

Mowy stanowią jeden z elementów żywego człowieka. W słowie drukowanym wiele można odczuć powagi, godności i ciepła, jakiego nam chce udzielić prelegent, ale pewna część jest dla nas stracona. Trzeba było go widzieć, trzeba było zaobserwować z jak prawdziwie królewskim sposobem i gracją podchodził on do swych słuchaczy, jak czarował i przekonywał jednocześnie. *Weizmann* mówił kiedyś, że istnieją dwa rodzaje godności: jedna — to „godność mechaniczna przywiązująca się w pozowaniu i graniu roli wielkiego męża stanu”... O drugiej *Weizmann* już nie mówił, bo po cóż? Lloyd George spytał *Weizmanna* w owej historycznej dla narodu żydowskiego chwili, jakie wynagrodzenie chciałby otrzymać w zamian za doniesienie usługi, jakie oddał Anglii w czasie wojny? *Weizmann* odparł wtedy, że dla siebie nie pragnie niczego, chce siedzieć dla swego narodu. Wielkość *Weizmanna* wyraża się może nie tyle w samej odpowiedzi — udzielił by jej zapewne nie jeden syjonista — ile raczej w fakcie, że otrzymał to, czego pragnął. Któż bowiem stał zanim w owych przełomowych dla naszej historii chwilach? Imponderabilia, których znaczenie wprawdzie jest doniosłe, które jednak mało znaczą w świecie realnych faktów. W jednej ze swych mów *Weizmann* powiedział: drzałem, że oto rząd angielski wezwie mnie i zapyta: niech nam Pan powie, kto to jest ta Organizacja Syjonistyczna, gdzie są ci syjoniści?

Dla młodej generacji nowych ludzi, która do syjonizmu przychodzi, trudno znaleźć książkę o równie silnym wpływie wychowawczym, jak te oto mowy męża stanu, który potrafił połączyć w cudowną jedność świat wizji ze światem realnej polityki.

WYDARZENIA I ODGŁOSY

Polskie Stronnictwo Demokratyczne

Demokratyczna opinia publiczna w Polsce, a z nią rzecznicy żydowskiej myśli demokratycznej, nie raz podnosili, że jedną z kardynalnych przyczyn impasu, w którym od pewnego czasu znalazła się polska polityka wewnętrzna — jest brak stronnictwa demokratycznego. Wprawdzie P. P. S. i Stronnictwo Ludowe są partiami zdecydowanie demokratycznymi, ale z natury rzeczy zasięg ich wpływów ogranicza się do dwóch warstw społecznych: robotników i chłopów, nie obejmuje zaś szerokich rzesz polskiego mieszczaństwa i inteligencji. Obok wielu innych, to było przyczyną faktu, że polskie miasto tak silnie dotąd podlegało wpływom politycznym reakcji rozmaitego kalibru. Nie dlatego, żeby wśród polskiej inteligencji i mieszczaństwa brak było elementów demokratycznych. Nie, to nie. Ale wybitne jednostki i całe grupy o silnych tradycjach wolnościowych, postępowych i demokratycznych szły luzem, dlatego głos ich i wpływ były zagłuszane i neutralizowane przez zorganizowaną hałasę nacjonalistyczną i neo-nacjonalistyczną.

W tworzącym się Froncie Demokratycznym brakło ważnego ognia, które dodane do chłopsko-robotniczego trzonu tego frontu, mogłoby poważnie wpłynąć na wzrost wagi gatunkowej tworzącej się nowej formacji politycznej i powiększenie się jej realnych szans. Świadomość tego nie była chyba obca przywódcom istniejących stronnictw demokratycznych, jeśli na sprawę walki o demokrację w Polsce nie patrzyli tylko pod kątem partyjnym.

Ostatnio inicjatywę w kierunku utworzenia Polskiego Stronnictwa Demokratycznego objął „Krakowski Kurier Wieczorny”, cytowany już przez nas organ lewicy piłsudczykowskiej. Na łamach jego znajdujemy deklarację o charakterze apelu do natychmiastowego utworzenia takiego stronnictwa. Czytamy tam m. in.:

„Byliśmy jedni z pierwszych w Polsce, którzy nawoływali i przepowiadali utworzenie obozu demokratycznego. Dwie najsilniejsze partie: Stronnictwo Ludowe i PPS, to stare, wypróbowane w bojach organizacje polityczne, opierające swą działalność na zasadach demokratycznych. Jest jednak moc luźnie chodzących grupek, jakoteż poważnych indywidualności, które dotychczas nie znajdują się w tych partiach. Oczywiście najlepszym rozwiązaniem byłoby, gdyby elementy te zasiliły szeregi tych partii. Jesteśmy zwolennikami centralizacji i komasowania sił. Rozpraszanie i rozdrabnianie nie jest wskazaną formą organizacyjną. Nie mniej uważamy usiłowania stworzenia stronnictwa demokratycznego za objaw zdrowy i pożądany.

Nie taimy, że organ nasz otworzy łamy dla tego stronnictwa i stanie się awangardą jego zasad, oświadczając, że duchem demokracji zachodno-europejskiej. Będzie naszym usilnym zadaniem propagowanie hasła o silnej, mocarstwowej Polsce, opartej na zdrowych zasadach demokratycznych!

Idziemy więc ku realizacji naszych haseł.

Tak jak człowiek nigdy nie przyzwyczai się do murów i krat więziennych, nie jest też zdolny przyzwyczaić się do dyktatury, do ustroju totalnego, który jest tylko odpowiednikiem dawnej tyranii.

Jesteśmy w tym położeniu, że istnieją wszelkie warunki ku powrotowi do demokracji, bez wstrząsów.

Możemy odgrodzić się w ten sposób wyraźnymi granicami ideowymi i politycznymi zarówno od stalinowskiego wschodu jak i hitlerowskiego zachodu właśnie przez powrót do demokracji przy utrzymaniu nawet silnej władzy wykonawczej. Obok krajów skandynawskich, Stanów Zjednoczonych, Anglii i Francji stanowić będziemy wówczas filar prawdziwej Europy.

To Stronnictwo Demokratyczne stanie się integralną częścią składową obozu demokratycznego, którego trzonem będzie Stronnictwo Ludowe i P. P. S. Bez endeków, których obóz demokratyczny traktując na równi — zgodnie z enuncjacją b. ministra spraw wewnętrznych p. Raczkiewicza — z komuną, odrzuca w sposób stanowczy od współudziału w kształtowaniu się życia politycznego w Polsce!

Równocześnie organ demokratycznopiłsudczykowski ogłasza pełny tekst

programu dawnego Polskiego Stronnictwa Demokratycznego z r. 1907. Program ten, aczkolwiek pisany przed trzydziestoma laty, nie jest wcale pozbawiony politycznej aktualności. Głosi odrodzenie narodowe, demokratyzację społeczeństwa, wolność, równość, reformy społeczne, potępia wybujały nacjonalizm, propagując sprawiedliwość narodowościową. Ustępy poświęcone mniejszościom narodowym w ogóle, a Ukraińcom (Rusinom) i Żydom w szczególności, cytujemy dosłownie:

„STOSUNEK DO INNYCH NARODÓW.

Stosując wobec wszystkich narodów zasadę wyłącznie pokojowego i kulturalnego współzycia i współpracownictwa w celu wspólnego stwarzania coraz doskonalszych form życia, i w myśl tego pewnika, że tylko wolne i pełnoprawne narody mogą najskuteczniej pracować dla swego dobra, a przez to i dla dobra ludzkości, przynajmniej wspólne z nami terytorium zamieszkującym narodom całkowite równouprawnienie i zupełną wolność pełnego i wszechstronnego rozwoju.

STOSUNEK DO RUSINÓW.

Tak więc co do Rusinów wypowiadamy zasadę, że największy ich rozwój narodowy i kulturalny nie może być bynajmniej szkodliwym dla całokształtu interesów polskich. Wedle głębokiego bowiem naszego przekonania rozwój ten może odbyć się bez jakiegokolwiek szkody dla polskiego stanu posiadania, którego uszczuplenia nie dopuszczamy.

STOSUNEK DO ŻYDÓW.

Co do Żydów zaś, to stwierdzając, że w siedmiowiekowym współzyciu ich z nami, w złej i dobrej doli, powstały między nami a nimi takie wzajemne wspólne pragnienia, potrzeb i dążeń, że przez wzajemną ufność i harmonijne współdziałanie będą się one mogły tylko zacieśniać i utrwalać — wyrażamy głębokie przekonanie, że dając Żydom pełną wolność społeczną, ekonomiczną i polityczną zupełną i rzeczywistą, a nie tylko formal-

ne, równouprawnienie, działamy na korzyść całego społeczeństwa naszego.

„Krakowski Kurier Wieczorny” zapowiada też ogłoszenie wytycznych, któreby aktualizowały program z r. 1907.

Notujemy z dużą uwagą pierwsze wiadomości o próbie kół piłsudczykowsko-lewicyjowych objęcia inicjatywy w kierunku utworzenia Polskiego Stronnictwa Demokratycznego. Uważając za przedwczesne zajęcie stanowiska wobec pierwszych wstępnych poczyną, chcemy tylko przypomnieć pogląd, któremu niejednokrotnie dawaliśmy wyraz, o konieczności jak najrychlejszego powołania do życia takiej formacji. Sądymy też, że piłsudczykowska lewica, jeśli poważnie pragnie stać się jednym z aktywnych elementów tworzącego się stronnictwa, winna zdecydowanie ustąpić na drogę zerwania z błędami i słabościami dnia wczorajszego.

Młody Ozon robi „nationale revolution”

Robimy „przełom narodowy”! Przełom narodowy uratuje nas od wszystkich bolączek dnia dzisiejszego, przełom zapoczątkuje promienne jutro. A jakże! Któż to robi ten „przełom”, jakby żywcem ściągnięty z nacjonalistycznego leksykonu partyjnego (nationale Revolution, Aufhebung, Erwachung...)? Chyba jakaś tam z frakcji zmartwychwstałego O. N. R., chyba jakaś „Falanga”? Nie; to jest nie zupełnie „nie”, bo właśnie ktoś w tym rodzaju...

Na murach Warszawy pojawiły się ulotki młodo-ozonowego Związku Młodej Polski, którego wodzem jest płk. A. Koc, jego zaś zastępcą — młody p. Rutkowski z „Falangi” i „Małego Dziennika”. Część pozytywna ulotki mówi szumnym i patetycznym głosem o owym „przełomie” i... I nic więcej. Jest za to część negatywna. Tu pierwszym hasłem (dosłownie pierwszym!) jest — walka z żydostwem (ulotka używa też niezmierzenie obrazowego określenia: „macki polipiu żydowskiego”). Potem dopiero następują inne hasła negatywne, jak walka z komuną, masonerią i t. d. W „deklaracji” mówiło się tylko „natomiast” — w ulotce pisze się już o mackach polipa i wysuwa się walkę z żydostwem, jako pierwsze zadanie nowej organizacji. Ale

jest to zrozumiałe: to przecież młodzież, do tego zaś po siedmiu miesiącach musi być postępow...

Kiedy ochłonęliśmy z pierwszych hitlerowsko-oenerowskich asocjacji, przypomnieliśmy sobie, że Z. M. P. jest przecież nową organizacją młodzieżową obozu rządzącego. Poczęliśmy więc w ulotce szukać bodaj śladów dawnej frazeologii państwowej. Nie znaleźliśmy. Szukaliśmy powołania się na spuściznę Wielkiego Marszałka — także nie znaleźliśmy.

O przedstawicielach „ancien regime” we Francji mówiono po Wielkiej Rewolucji, że o niczym nie zapomnieli niczego się nie nauczyli. Autorom ulotki Zw. Mł. Pol. można zrobić inny komplement: o wszystkim zapomnieli i wszystkiego się nauczyli...

Milena Rudnicka o fiasku ukraińskiej ugody

B. posłanka ukraińska, Milena Rudnicka, jest wybitną reprezentantką ukraińskiego ruchu narodowego w Polsce i przywódczynią organizacji kobiet ukraińskich. W Sejmach, wybranych na zasadzie demokratycznej ordynacji wyborczej, posłanka Rudnicka odgrywała ważną rolę, rozwijała też ożywioną działalność propagandową dla sprawy swojego narodu na terenie międzynarodowym. Do „normalizacji” z r. 1935 ustosunkowała się odrazu krytycznie, nie weszła też do obecnego sejmu na zasadzie t. zw. kompromisu wyborczego. Zdecydowana opozycja Mileny Rudnickiej wobec taktyki nowego ukraińskiego kierownictwa politycznego doprowadziła do zerwania z UNDO-em.

W związku z ankietą w sprawie „normalizacji”, przeprowadzaną obecnie przez „Dilo”, Milena Rudnicka opublikowała na łamach kobiecego pisma „Zinka” niezmiernie ostry i wymowny artykuł p. t. „Normalizacja na cenzurowanym”. Dla informacji naszych czytelników podajemy obszerne streszczenie tegoż.

Autorka konstatuje, że wszyscy bez wyjątku stwierdzają stuprocentowe niepowodzenie kursu ugodowego; normalizacja „...ujemnie odbiła się na dolach, demobilizując naszą aktywność i siejąc apatię i inercję”; „...przyniosła się znacznie do obniżenia rodzi-

mej wagi sprawy ukraińskiej wewnątrz państwa i na zewnątrz” i do „silnego obniżenia odporności narodowej ludności ukraińskiej, do demoralizacji znacznej jego części...”, przy czym „dofy ludowe przestały być aktywne politycznie... życie polityczne kraju niemal zamarło”. Skądinąd „dla strony polskiej sprawa ukraińska przestała istnieć”, „kurs normalizacji pogorszył, zamiast naprawić stosunki polsko - ukraińskie”, gdyż „strona polska... zrozumiała zmianę taktyki (ukraińskiej), jako oznakę bezsilności, oraz kapitulację z naszych zasadniczych żądań”, wskutek czego „...społeczństwo polskie zmobilizowało się i zaktywizowało na platformie antyukraińskiej i stało się daleko bardziej szowinistyczne, niż przed normalizacją”. Nawet głosy umiarkowane stwierdzają, że „nie można poważnie mówić o złagodzeniu kursu politycznego, o zaotrzeniu tego kursu...”. P. Rudnicka wyciąga stąd wniosek, że jest to więc nie niepowodzenie polityki UNDO, lecz jej zupełny rozkład, katastrofa i kompromitacja i to nie tylko autorów nowego kursu, lecz całej ukraińkości, gdyż UNDO jest stronnictwem reprezentacyjnym. Dalej krytykuje p. Rudnicka głosami wyjętymi z ankiety taktykę Reprezentacji Parlamentarnej, która była „ustępliwa i niezdeterminowana”, nie miała poglądu krytycznego na własne i cudze błędy.

Milena Rudnicka krytykuje samą zasadę ankiety „Dilo”, która pominęła sprawę wpływu normalizacji na stosunki międzynarodowe. Tymczasem normalizacja doprowadziła do zupełnego zaniedbania kontaktu Ukraińców ze światem i do zaprzestania sprawy informacyjno-propagandowej. W ankiecie tylko 8 osób zadeklarowało wyraźnie, że są zwolennikami porozumienia polsko - ukraińskiego. Przeważnie szło o względy oportunistyczne. Żaden głos nie stwierdził, że w samej koncepcji nowej polityki tkwiły przyczyny niepowodzenia. Nikt nie zastanowił się nad pytaniem, w jakich warunkach możliwe jest porozumienie polsko-ukraińskie. Nikt nie zwrócił uwagi na przeszkody, tkwiące w psychice kontrahenta polskiego, ani na „doświadczenia historii”. Pewien polityk pisze w swej odpowiedzi na ankietę: „Szło tylko o to, aby znaleźć sposób pogodzenia na naszych ziemiach polskiej racji stanu z ukraińską racją narodową”. „To owo „tylko” — pisze p. Rudnicka — jest naprawdę rozbijające. Niechaj nam pan dobrodziej wskaże taki sposób, a będziemy panu bardzo wdzięczni”. Dalej dowodzi p. Rudnicka, że koncepcja ugody opierała się na fałszywych przesłankach. Motywy, jakimi szafowało UNDO dla usprawiedliwienia swej linii, są zupełnie nierealne. Wierzyć, że Polska zaangażuje się w sprawę ukraińskiej przeciwko Sowietom — znaczy brać swe życzenia za rzeczywistość. Nawet nie wykluczając możliwości, że w przyszłym, zderzeniu sił Polska i Rosja będą w dwóch obozach i że miejsce narodu ukraińskiego będzie w tym samym obozie, co i Polski, to i w tym wypadku trzeba nazwać oświadczenia UNDO za przedwczesne. Normalizacja nie była robiona na zasadzie „równym z równym” i dlatego doprowadziła do pomniejszenia subiektywnej wartości Ukraińców we wzajemnych stosunkach. Frazezy „równy z równym” były jedynie charakterystycznymi przykładami słabości, która udaje siłę, dowodami megalomanii ukraińskiej, przemieszanej z brakiem szacunku własnego i charakteru. Ankieta stwierdziła, że sama zasada normalizacji jest bardzo dobra, ale jej wyniki zupełnie złe. To tak, jak gdyby ktoś stwierdził, że kuracja była skuteczna, ale chory umarł. P. Rudnicka dowodzi w konkluzji artykułu, że normalizacja była potrzebna i korzystna tylko dla Polaków.

O przywrócenie prawdziwego parlamentaryzmu

W katowickiej „Polonii” ukazała się niezmiernie charakterystyczna informacja, którą podajemy na odpowiedzialność tego pisma:

„Krążą pogłoski, że grono wybitnych obywateli, działaczy politycznych, społecznych i gospodarczych, nie związanych ściśle z poszczególnymi stronnictwami, prowadzi między sobą rozmowy na temat wystąpienia w sprawie najważniejszych zagadnień państwowych. M. in. chodzi o wystosowanie memoriału do Prezydenta R. P. i zebranie pod nim odpowiedziennej ilości podpisów ludzi znanych, w sprawie przywrócenia wreszcie istotnego parlamentaryzmu w Polsce; rozwiązania obecnych izb i rozpisania nowych wyborów”.

Kraj czeka.

Inż. A. Glizer

ZMIANA TAKTYKI?

(Korespondencja własna „Steru” z Palestyny)

A zatym napięcie, o którego wzmroście dopiero w zeszłym tygodniu pisaliśmy doszło już do wybuchu. Zarówno strażnicy do autobusu międzymiastowego, których ofiarą padł jeden z mieszkańców Tel-Awivu, jak i zamordowanie dwóch robotników żydowskich pod Karkur, miały typowo terrorystyczny charakter i żywo przypominały dzieje minionych miesięcy walk i rozruchów. Morderstwa te nie miały nic wspólnego ze zwykłym rabunkiem i trudno oprzeć się wrażeniu, że to terrorystyczne koła naszych sąsiadów dały w ten sposób znać o sobie.

Czy to już początek nowych rozruchów, oto pytanie, które narzucało się każdemu. Trudno i niebezpiecznie bawić się w Palestynie w proterwa, tym nie mniej wydaje się, że odpowiedź powinna być przecząca. Arabowie nie zrezygnowali jeszcze z nadziei obalenia podziału Palestyny na drodze dyplomacji. Mowa oczywiście o tych kołach arabskich, które naprawdę nie chcą podziału, gdyż nadzieje innych kół są zapewne diametralnie przeciwnie, co nie przeszkadza im zresztą tymczasem deklarować się urzędowo przeciw podziałowi. Nawet emir Abdalla napisał już podobno memoriał antypodziałowy. Ale nie o te sfery w tym wypadku nam chodzi. Koła, w których ręku znajduje się ster terroru arabskiego, to są te właśnie koła, które naprawdę zwalczają podział Palestyny. Rozwijają one obecnie wyjątkowo ożywioną działalność w kierunku wciągnięcia państw arabskich i muzułmańskich do swojej akcji. Prowadzą silną propagandę na całym Wschodzie, tworzą komitety „obrony Palestyny”, przygotowują obecnie konferencję tych komitetów w Baludanie (letnisko pod Damaszkim), starają się wreszcie nakłonić rządy do interwencji, zwłaszcza podczas najbliższej sesji Zgromadzenia Ligi Narodów. Trudno ocenić, ile jest w tym trzeźwej prawdy, a ile orientalistycznej fantazji, ale narazie panuje w odnośnych kołach arabskich wielki optymizm.

W tych warunkach nie uważa widocznie sztab arabski za słuszną wyrzucanie już teraz na swój „ostatniej karty” w postaci rozruchów. Byłaby to gra

va banque, ponieważ jest jednak prawdopodobne, że w razie wybuchu „prawdziwych” rozruchów władza przejdzie w ręce wojska, które zastosuje energiczniejsze środki, niż w zeszłym roku, i że jednym z pierwszych rezultatów będzie likwidacja muftiego. Jak długo można, warto więc może czekać z rozruchami, ale tymczasem dobrze jest przypomnieć światu, że Zurich i Genewa to jeszcze nie wszystko i że w Palestynie można jeszcze „zrobić wesoło”. W tym celu nie trzeba oczywiście wygrać odrazu najgrubszej karty rozruchów na wielką skalę, wystarczy zostawić zwykłą wizytówkę terrorystów. Oto najprawdopodobniejsze, zdaje się, wytłumaczenie ostatnich wypadków.

Ale ostatnie wydarzenia mają jeszcze jedną stronę, z punktu widzenia żydowskiego nie mniej, a może jeszcze bardziej ważną. Oto po raz pierwszy miały na większą skalę miejsce wypadki mordu Arabów, co do których trudno opętać się wrażeniu, że przynajmniej częściowo miały to być akty „zemsty”. Nie należy oczywiście i teraz zapominać o nieprzerwanej serii mordów Arabów przez Arabów, która ciągnie się od długich miesięcy i na której konto należy zapisać conajmniej jeden z mordów ostatnich dni. Ale część przynajmniej pozostałych wypadków miała widocznie charakter „rewanżu”.

Jest jedno pismo w Palestynie, które oddawna już opowiada swoim czytelnikom o „cherpat hawawaga”, o „hańbie samoopanowania”. Jak wiadomo, ochrzczono w zeszłym roku mianem „hawawaga” taktykę Żydów palestyńskich, która polegała na odpieraniu wszelkich ataków, ale bez szukania zemsty. Taktyka ta, którą przyjęły wszystkie bez wyjątku ugrupowania i kierunki, pozwoliła na utworzenie legalnych sił obronnych w formie żydowskiej policji specjalnej i zapobiegła wypaczeniu charakteru rozruchów w tak dla przywódców arabskich i części administracji angielskiej pożądane „wzajemne starcia dwóch plemion”. Nie należy ukrywać, że taktyka ta przychodziła ciężko, przede wszystkim dlatego, że rodziła poczu-

cie niejakiego pasywizmu wobec wydarzeń. Tym nie mniej przeważnie rozumiano jej głębokie usprawiedliwienie i dyscyplina została utrzymana.

Dopiero po rozruchach, gdy dobrze znana grupka wznowiła swą odwieczną grę oburzania białym każdego, kto ma więcej wpływu od niej samej, zaczęła się na łamach „Hajarden” gadanina o hańbie „hawawaga”. Mamy więc teraz „niehawawaga”. Mamy mord przechodzącego fellacha w Jerozolimie, mamy ciężkie poranienie Araba, który przyszedł do Tel-Awivu do lekarza, i jeszcze jeden mord i jeszcze jeden i jeszcze jeden. Czy dało to komuś satysfakcję za krew ofiar żydowskich? Bardzo wątpliwe. Zbyt wysoko cenię życie człowieka, aby uwierzyć, że zemsta, wywarta na przypadkowej ofierze, może komuś dać zadośćuczynienie. Czy przyczyniło się to do uspokojenia kraju, do stłumienia terroru? Czyż jest wśród nas rzeczywistie ktoś tak naiwny, by wierzyć, że dyrygentom terroru arabskiego, z których ręki padło tylu Arabów, sprawi różnicę, jeśli zabity zostanie jeszcze jakiś tam fellach? Czy dało to Żydom poczucie aktywnej samoobrony, którą rzekomo „hawawaga” uniemożliwiała? Któż widzi samoobronę w strzałach z ukrycia, kogoż tego rodzaju aktywność nie wprowadza w głębokie zawstydzenie, zamiast rzekomo podnosić na duchu? Któż nie czuje, że napad na niewinnego pozostaje napadem na niewinnego, nawet wtedy, gdy poprzedził go mord, wykonany przez któregoś z współplemieńców obecnej ofiary? Któż nie czuje, że tego rodzaju akty zemsty a prawdziwa samoobrona to dwie antytezy pod względem moralnym?

Ostatnie mordy były dla niejednego ciężkim ciosem, ciemną plamą, która padała na czyste sumienie najczystszej z kolonizacji, które kiedykolwiek miały miejsce. Jeżeli była w tym jakaś strona jasna, to ta, że wielu, którzy przed tym mieli może wątpliwości, ujrzało oko w oko bagno, w które chcą ich wprowadzić — i wzdygnęło się.

TEL-AWIV, 4.9.37.

LEGENS

Od Miłości do Wolności

To była piękna pieśń — życie angielskiego lorda i angielskiego poety narodowego, życie wielkiego miłośnika kobiet i wielkiego miłośnika Wolności, życie ulubieńca Fortuny i tragicznego nieszczęśliwca, życie *Byrona*.

Czy życie osobiste człowieka, który wyżywa się w słowach, rymach i strofach, może być piękne i zainteresowania godne? Czyż szarzyzna dni powszednich nie przyćmiewa wspaniałego blasku twórczej fantazji? W życiu *Byrona* nie miało to miejsca. Obok pieśni swych rymów i strof — wyśpiewał nie mniej dźwięczną, nie mniej barwną i nie mniej tragiczną pieśń swoich czynów, zmagani i cierpień. Niech też nam wolno będzie wyjawić nasz sąd: ta druga pieśń w niczym nie ustępowała pierwszej.

Ale gdy pieśń strof i fantazji poeta utrwała na wieki w spiżowych ramach słów — ktoś zdolał dla potomności uratować pieśń życia poety, pieśń dni, która ginie wraz z zmierzchem, pieśń nocy, co zamiera z braskiem? Tylko inny poeta, albo pisarz, co ma polot poety, fantazję marzyciela i znajomość spraw ludzkich — psycholog. Takie właśnie dary talentu, obok głębokiej kultury francuskiej i francuskiego pióra, posiada *Andre Maurois*. Po *Shelley'u* i *Disraelim* napisał rzecz o żywocie *Byrona*. Tak oto obok pieśni rymów i strof *Byrona* została uwieczniona nie mniej piękna pieśń jego życia...).

Rzekliśmy: to była piękna pieśń. Piękna — bo rozbrzmiewała w niej dwa najwspanialsze akordy życia ludzkiego: pragnienie Miłości i tęsknota za Wolnością. Ale była to też pieśń ludzka, pieśń prawdziwa. W takiej pieśni nie brak nigdy dysharmonii, dysonansów i zgrzytów, w takiej pieśni piękno graniczy z brzydotą, miłość z nienawiścią, dobro ze złem. A zgrzytów brzydoty i zła nie brakło w pieśni życia *Byrona*. Nie brakło też w niej motywu cierpienia. One stanowiły źródło wszystkich zła, co zakradło się do duszy *Byrona*.

Były to wielkie cierpienia, największe chyba, jakie spaść mogą na człowieka. Cierpienia wieczne. Cierpienia nieusuwalne. Tak jak wieczne i nieusuwalne jest — k a l e t w o. Bo *Byron* urodził się kaleką, jak kaleka przekulał przez ciężką drogę swojego życia, kaleką umarł. Był kulawy... To starczy na nigdy niewysychające źródło cierpienia, bólu, ponizienia. Nie brakło ich też, och, nigdy nie brakło *Byronowi*. Ale oddajmy mu głos na chwilę — niech nam sam powie o swym nieszczęściu: „Potrzeba wielkiej urodzonej dobroci, by pokonać w sobie tę żrącą gorycz, jaką budzi w duszy ułomność, zniechęcając człowieka do całego świata”. Tak, w życiu nie brak ułomnych, którzy tę gorycz pokonać potrafia, a jeśli prawdziwa jest diagnoza *Byrona*, ludzie ci obdarzeni być muszą istotnie wielką dobrocią i — dodajmy od siebie — potężnym optymizmem życiowym. Czy *Byron* rozporządzał takim puklerzem dobroci i optymizmu? Sądząc po niezliczonych przejawach goryczy, musiało mu go nie raz w życiu braknąć, ale nie był też go pozbawiony zupełnie. Był tylko bardzo nieszczęśliwy, a nieszczęśliwych winić nie wolno...

Zwłaszcza, gdy źródło nieszczęścia jest niewysychające i wieczne, tak jak nieusuwalne i niewysychające są ułomności fizyczne człowieka. *Byron* napisał dramat w stylu faustowskim: „*The Deformed Transformed*”. Motyw jego jest boleśnie tragiczny — garbaty sprzedaje duszę diabłu, by pozbyć się garbu. Tak szczęśliwie dzieje się tylko w faustowskich dramatach. Myślę, że *Byron* sprzedałby swoją duszę na wieczne męki i na wieczne potępienie, aby za życia być takim, jak wszyscy inni — myślę też, że uczyniłby to z nim razem nie jeden ułomny. Cóż, kiedy w życiu to nie jest możliwe — życie jest przecież bardziej tragiczne od... faustowskich dramatów.

Był więc *Byron* bardzo nieszczęśliwy i pozostał nim przez życie całe...

Nie był szczęśliwy w dzieciństwie i w życiu rodzinnym. Ojciec, kapitan *Byron* — awanturnik, hulaka i rozrutnik. Matka, Szkotka, z domu *Gordon* — uważana przez syna za wariatkę. Dziadek, pół-szaleniec, ochrzczony przez okoliczną ludność wymownym przydomkiem „złego lorda” — spędzał dni swej starości na dokuczaniu ludziom, na... tresowaniu świerszczy i zabawie w okrężki. Ale to nie były największe nieszczęścia dzieciństwa i wczesnej młodości *Byrona*.

Pierwsza miłość *Byrona* była, naturalnie, nieszczęśliwą miłością. *Mary* — *Ann Chaworth*, którą uwielbiał, kochała jakiegoś tam kpt. *Mastersa*, dobrego myśliwego i t. d. „Ale kobieta — oddajemy głos *Maurois*, głębokiemu znawcy duszy kobiecej — rzadko potrafi się oprzeć pokusie uwodzenia zakochanego mężczyzny. Choćby owym mężczyzną był młody chłopiec, choćby był najbar-

dziej wydziedziczony przez życie, — zawsze rozkoszą będzie dla niej uczucie, że czyjaś duszę trzyma w dłoni”. *Mary Ann* trzymała więc w dłoni duszę młodego *Byrona*, a on szalał z miłości i uwielbienia. Aż raz usłyszał, jak uwielbiana mówiła do swej pokojówki: „Czy ty myślisz, że może mi zależeć na tym kulawym chłopcu?” Kulawy chłopiec wybiegł w głuchą noc i szalał z rozpacz, bólu i ponizienia. Ale nazajutrz rano — wrócił do niej. *Maurois* tłumaczy: „Choć miał dopiero piętnaście lat, poznał już owo straszliwe pragnienie, które sprawia, że człowiek raczej gotów jest znieść wszystko, niż wyrzec się widoku drogiej twarzy, brzmienia głosu, dotknięcia dłoni”.

Po rozczarowaniu miłosnym szukał ciepła w przyjaźni. Był w niej równie zazdrosny, jak w miłości — w nie mniejszym też stopniu rozczarował się na niej. Rozpoczął się okres chaosu w życiu *Byrona*. Cambridge, hulanki, tysiące długów, złe towarzystwo. Pierwszy utwór, opublikowany przez 19-letniego młodzieńca („*Godziny bezczynności*”) i pierwszy — ostry i niewybredny atak prasowy na młodego autora. (Pierwsza napaść prasowa bywa, zdaje mi się, nie mniej bolesna od... pierwszego rozczarowania miłosnego!)

W bardzo wczesnym wieku wszedł do Izby Lordów i od razu doprowadził do incydentu z jej przewodniczącym, lordem *Eldonem*, pragnąc zmanifestować swą światoburczą opozycyjność. Pierwszą mowę w Izbie Wyszłej poświęcił obronie robotników. Odbił też dwuletnią podróż po krajach śródziemnomorskich, której szczytowym etapem była Grecja, skuta okowami niewoli. Gdy dojeżdżał do Aten, przewodnik wykrzyknął: „*Panie! Panie! Widać już wieś!*” Wtedy narodziła się najpiękniejsza idea życia *Byrona* — idea wolności Hellady. Wtedy też powstał jego najpiękniejszy poemat: „*Wędrowki Childe Harolda*”.

Jak prawie zawsze bywa, sława przyszła nieoczekiwanie i ze strony, z której najmniej się jej spodziewano. Autor „*Childe Harolda*” stał się „bezkonkurencyjnym bożyszczem salonów 1812 r.”. Wraz z sławą powróciły kobiety, a nawet ich wzajemność. Było tych kobiet kilka: *Karolina Lamb*, lady *Oxford*, *Annabella Milbanke*. Ale na wyróżnienie zasługuje miłość najpiękniejszą, bo platoniczna. Tak właśnie kochał młodą mężatkę, lady *Frances Webster*. O wdziękach i czarach takiej miłości pisze *Maurois*: „Miłość platoniczna nie jest pozbawiona wdzięcznych momentów. Nadaje ona wartość drobnym sprawom: pamiętkowym kwiatom, szepcany wierszom. Pozwala odczuwać nieskończoną rozkosz w uścisku ręki, w cichym westchnieniu, w muśnięciu sukni...” I tym razem trudno odmówić francuskiemu pisarzowi głębokiej znajomości spraw ludzkich; takich zwłaszcza, co to pozornie wydają się małymi i drobnymi, w rzeczywistości zaś są najpiękniejszymi ozdobami naszego życia...

Taka miłość nie zawsze może trwać długo. Piękna *Frances* która sama nadała ten platoniczny ton stosunkowi z *Byronem*, w gruncie rzeczy tęskniła za czymś mniej platonicznym i, zdaje się, że to w końcu znalazła z kimś innym. *Byron* zaś od tej czystej miłości przerzucił się do zmysłowego i kazirodzkiego stosunku ze swą przyrodnią siostrą, *Augustą Leigh*. Od lat młodości łączyły go z nią więzy braterskiej przyjaźni, lecz oto powoli w stosunki te poczęły się wkładać nieświadomy odcień zmysłowości.

Obok ułomności fizycznej ta ułomność seksualna była drugą wielką tragedią życia *Byrona* i, jak pierwsza, towarzyszyła mu niemal do grobowej deski. Trzecią wielką tragedią było nieszczęśliwe małżeństwo z *Annabellą Milbanke*, którą prawdziwie kochał przed ślubem, ale wobec której zobojętniał jeszcze w dzień ślubu. *Annabella* była piękna, rozumna, obdarzona charakterem i zdolnościami. Czemuż więc? Niech nam *Byron* to sam wytłumaczy:

„Miłość w małżeństwie, jak wino przechodzi

W ocet, przelewka cierpka, kwaśna, mętna,
Napój zmieniony z ambrozji różowej
Na specjał, godny apteczki domowej...
Nikt o posłubne nie stoi pieszczoty,
Z małżeńskich grzechów cnota nie szwankuje

Poezja ileż poniosłaby straty,
Gdyby petrarca z Laurą był żonaty.”

Inne kobiety, które przeszły przez życie *Byrona*? To były już tylko seksualne epizody. Romans z piękną i prostą *Wenecją*, *Marianną Segati*, rola „*Cavalieri Servante*” u boku pięknej hrabiny *Guiccioli*, *Malgorzata Fomarina* — ale nad wszystkim potężny i życie całe trwający, urok *Augusty*. O niej to pisał:

„Choć śmiertelna — nigdy nie zdradziłaś,

Choć kobieta — pamiętałaś o mnie;
Choć kochana — serca nie raniłaś.
Szkalowana — wytrwałaś niezłomnie”.

Od pragnienia Miłości do tęsknoty za

Wolnością i walki o nią — nie prowadzi zbyt długa droga. A *Byron* zawsze był jej bliski. W sali obrad Izby Lordów, w czasie podróży do Grecji, nawet w pałacu włoskiej hrabiny, z którą romansował nawiązując jednocześnie kontakt polityczny z kołami „*Carbonariuszy*”. Obok romantyzmu nie był mu obcy realizm polityczny, propagował więc zjednoczenie się Włochów, jako wstępny warunek odzyskania niepodległości Italii. Zrozumiał, że sceptycyzm metafizyczny nie musi łączyć się z sceptycyzmem politycznym.

Toteż gorąco pragnął wolności uciskanych narodów i braterstwa pomiędzy nimi. Pragnął wolności i pokoju, wierzył też w ich nadejście. Pisał: „*Piękniejszą sławę ma, kto czyje oczy osuszy, niż kto*

Dr. Feliks Weltsch

Ogólny syjonizm*)

(Studium ideologiczne)

RÓŻNICE POLITYCZNE I ŚWIATOPOGŁADOWE W SYJONIZMIE.

Dotąd mówiliśmy o różnicach poglądów w dziedzinie religii i systemu gospodarczego. Skoro jednak bliżej zajmiemy się tą sprawą, to dojdziemy do wniosku, że więcej jest takich różnic. Jest dalekoidącym upraszczaniem, gdy mówimy o „prawicy” i „lewicy” w Organizacji Syjonistycznej — jak również w polityce ogólnej. Upraszczenie to doprowadza się jeszcze dalej, gdy mówią o prawicy ma się na myśli elementy religijno-konserwatywne, o lewicę zaś — socjalistyczne. Jest to błędne; ortodoksja i socjalizm nie są bezpośrednimi przeciwieństwami, nie znajdują się bowiem w ogóle na jednej płaszczyźnie przeciwstawiania.

Byłoby wskazane, przed dalszymi rozważaniami na temat środka i jedności, wyjaśnić pojęcia prawicy i lewicy, tj. w jakim znaczeniu występują one w polityce ogólnej i w syjonizmie, jakie są przeciwieństwa, które te dwa pojęcia symbolizują:

1. W dziedzinie gospodarstwa: *kapitalizm* — *socjalizm*. U nas przeciwieństwo to ma liczne odmiany: Fundusz Narodowy — inicjatywa prywatna albo: chaluha — kolonista kapitalistyczny i ze stanu średniego, albo: kwuca — ferma indywidualna, albo: socjalistyczny związek zawodowy — narodowy związek zawodowy i t. d.

2. Przeciwnieństwo: *religijna ortodoksja* — *wolnomyślicielstwo*.

Dalej bardzo doniosłym przeciwieństwem jest dziś:

3. *Demokracja* i *dyktatura* albo *parlamentaryzm* — „*wodzostwo*”.

Także powyższe zagadnienie, odgrywające dziś tak decydującą rolę, znalazło swój oddźwięk w spornych kwestiach syjonistycznych. Jest rzeczą wiadomą, że rewijoniści w sprawie tej zajmują stanowisko prawicowe, odrzucając zasadę większości, a więc podstawę parlamentarizmu i stojąc blisko zasady „wodzostwa”, czemu w swoim czasie dał wyraz *Zabotyński*, inscenizując „*zamacchi stanu*” w łonie własnej organizacji.

4. Dalsza różnica zachodzi pomiędzy *nacjonalizmem* i *humanizmem*, albo ściślej: pomiędzy egoizmem narodowym — nazywanym nacjonalizmem materialistycznym, szowinizmem i „*sacro-egoizmo*” narodu — a humanizmem w sensie antynarodowej idei powszechności ludzkiej.

5. Zachodzi dalej głęboka różnica pomiędzy *egoistyczną polityką mocarstwową*, a *altruistyczną polityką ustępliwości*.

W pobliżu tych krańców mamy:

6. przeciwieństwo pomiędzy *militaryzmem* a *pacyfizmem*. Jest to zagadnienie sposobów załatwiania zatargów pomiędzy narodami i grupami: środkami przemocy czy na drodze pokojowej.

Dalej mamy poważne przeciwieństwa metody politycznej, którą ująć można w postaci pojęć:

7. *radikalizm* i *polityka oportunistyczna*. Problematyka celu i dróg jego urzeczywistnienia — dzieli te dwie metody. Pierwsza bowiem opiera się na radykalnym i bezwzględny dążeniu do celu, podczas gdy druga wyładowuje swą energię na szukaniu celów pośrednich, dróg kompromisowych i chwilowych interwencji, co często doprowadza do zatracenia się celu głównego.

Pokrewne, ale bynajmniej nie identyczne jest wreszcie:

8. przeciwieństwo pomiędzy *ekspresyjną*, a *trzeźwą polityką*; pomiędzy polityką uczucia, fantazji a trzeźwą i suchą polityką wyrachowania.

To są pytania, na które odpowiedzieć musi wszelka polityka. Odpowiedź ogólnego syjonizmu na te zagadnienia zawarta jest w ramach dwóch pojęć zasadniczych, stanowiących, jak już podkreślaliśmy, fundament ideologii ogólnego syjonizmu. Pojęciami tymi są *środek* i *jedność*.

Ogólny syjonizm, stojąc w obliczu obu

morze krwi wytoczy.” Nienawidził też całym sercem tyranii: „Bo gdybym miał, uczylbym kamienie powstawać przeciw niewoli tyranów!”

I oto *Byron* dokonał najpiękniejszego czynu swojego życia: nie ograniczył się do wzywania słowami kamieni, by powstały przeciw tyranom, ale sam, kaleka, chory i życiem złamany, ruszył do walki o wolność Grecji. Poświęcenie całego majątku na rzecz walki o wyzwolenie Hellady, wyprawa do *Missolonghi*, groteskowy może tytuł „*archistrategosa*”, który wrzynał, nieudane próby zorganizowania greckich sił zbrojnych i sama śmierć na ostatnim, najpiękniejszym posterunku życia — to wszystko może nie wpłynęło bezpośrednio na losy walk niepodległościowych, moralnie jednak

przeważało szalę na rzecz wolności Hellady.

Sumienie Anglii i sumienie świata przebudziły się z uśpienia. I nie minęły trzy lata od męczeńskiej śmierci *Byrona* w greckiej wiosce *Missolonghi* — a minister *Canning*, opierając się na zbyronizowanej opinii angielskiej, przełamał opór *Foreign Office* i ks. *Wellingtona*. Pod *Navarinem* floty angielska, francuska i rosyjska wywalczyły wolność i niezależność Grecji. Był to zarazem koniec reakcyjnego Św. Przymierza.

Tak oto śmiercią *Byrona* okupił grzechy swojego życia. Umarł, jako wojownik o najczystsze ideały ludzkie. Ze zgonem jego przerwała się pieśń Miłości i Wolności.

Była to piękna pieśń...

resztki. Dlatego nazywam to subiektywnym środkiem mieszanym.

Istnieją dalej przeciwieństwa, które wprawdzie nie dadzą się ze sobą połączyć, ale mogą istnieć obok siebie. Wprawdzie jedne nie chcą wiedzieć o drugich, wzajemnie się gniewają, są sobie wrogie, ale jest dosyć miejsca, by mogły obok siebie przejawiać się. To jest *środek podwójnej drogi*, albo — by użyć wyrażenia *Maksy Broda* — *środek dwutorowości*.

Zachodzi to wtedy, gdy mamy tak wielki teren działania, że możliwy jest jego podział, albo też zachodzi możliwość podziału *pracy*, tak że na każdym odcinku przeważa inne przeciwieństwo. W ten sposób oba przeciwieństwa są w równej mierze scentralizowane. Środek ten nazywam *neutralnym środkiem dwutorowości*.

Teraz dopiero dochodzimy do przeciwieństw, które w stosunku do siebie są absolutnie nie do połączenia i z których każdy bierze człowieka w całkowite władanie. Jak należy się zachować w tej tragicznej sytuacji? Co wybrać?

Można zachować się negatywnie, nie decydując się w ogóle, pozostać biernym i bezradnym, zrezygnować z własnej drogi. Druga możliwość — to *niefortunny kompromis*, zgnyli *środek*. Trzecia możliwość — to ucieczka na jedno ze skrzydeł. W obliczu dylematu: na prawo czy na lewo? — decyduje się albo na prawo albo na lewo, a zarazem zdradza się lewicę albo prawicę. Jest to stanowisko ekstremistycznych stromiów skrzydłowych.

Dalej mamy czwarte wyjście polityczne, niestety w naszym życiu politycznym bardzo rozpowszechnione — wyjście historyczne, albo by pozostać wiernym naszemu schematowi pojęć — *historyczny środek*. Wygląda on w ten sposób: gnany koniecznością zdecydowania się, człowiek pędzi po linii najmniejszego oporu. Zaglusa on siebie samego, otwiera wentyl swym niskim instynktom, swoje napięcie wyładowuje w sposób niszczycielski. W polityce dla podobnych decyzji mamy całą skalę demagogicznych możliwości wyładowania napięcia w drodze hołdowania zbrodniczym instynktom mas: nienawiści, mordy, sadyzmu, pogoń za sensacjami i okrucieństwami, skandalami i hecami. Klasycznym przykładem historycznego środka w polityce jest *antysemityzm*.

Zupełnym przeciwieństwem tego historycznego środka jest najwyższy i najbardziej wartościowy rodzaj — *środek twórczy*.

Wyjście z rozterek decydowania nie musi prowadzić do złego, jak w wypadku wyjścia historycznego, lecz może także prowadzić w kierunku dodatnim i do twórczego czynu. Nie musi się niszczyć wartości — można je też tworzyć.

Droga ta nie prowadzi ani na prawo, ani na lewo, nie jest też ona zgnyłym kompromisem; prowadzi ona na wyższy stopień ewolucji, na którym przeciwieństwa wprawdzie nie znikają, ale ulegają przekształceniu. Najważniejszą wszakże okolicznością jest to, że przez odkrycie tej drogi powstaje coś nowego. Dlatego nazywam ją drogą twórczą, a *środek* ten — *twórczym środkiem*.

Źródłem, z którego wywodzi się *twórcza droga* środkowa jest głęboko przeżyte *uczucie sprawiedliwości* w stosunku do prawicy i lewicy. Największe zaś zdobycze kultury ludzkiej zawdzięczamy takim oto twórczym drogom środkowym, które wprowadzają w dylematu sprzeczności nie do pogodzenia.

Pozostaje wreszcie jeszcze jedna możliwość: oba przeciwieństwa *działają obok siebie*, wzajemnie się zwalczając, człowiek zaś wierzy każdemu z nich i niezdolny do znalezienia drogi środkowej, stara się wszystkimi siłami spełnić swój obowiązek wobec obu krańców. Jeśli zaś przeciwieństwa te są rzeczywiste nie do załagodzenia, wtedy stan ten możliwy jest tylko przez pewien czas, jest stanem prowizorycznym. Nazywam więc go *provizoryczną dwutorowością napięcia*.

*) *Andre Maurois*: *Byron*. Towarzystwo Wydawnicze „*Rój*”. Warszawa 1937. Str. 397.

*) Por. 26 Nr. „*Steru*”.

Okno na świat

Pieśń niedokończona

KWESTIA SYMPATII.

W pewnym małym miasteczku szwajcarskim mieszkała pewna panna, która była matką siedmiorga dzieci. Gdy zaś ósme dziecko przyszło na świat, owa pan na zgłosiła się w urządzie, by je zameldować. Stary urzędnik znalazł już ją dość dobrze, więc zapytał:

— Wybaczysz pani, oto już jest pani matką ośmiorga dzieci. Wszystkie dzieci są zrodzone z jednego ojca. Ojciec tych dzieci utrzymuje panią, mieszka z panią, jest więc właściwie pani mężem. Czemu więc nie zawiera pani z nim związku małżeńskiego...

Na to rezolutna panna:
— Il ne m'est pas tellement sympathique — nie jest dla mnie na tyle sympatyczny, bym z nim zawarła ślub!

Ową historię szwajcarskiej panny przypomnieliśmy czytelnikom w związku z...stosunkami włosko - angielskimi. Od szeregu miesięcy przepowiadają zbliżenie, zawarcie sojuszu, ba! powstanie osi Londyn — Rzym. W nagłówkach gazet, w artykułach wielu poważnych pism — ten sojusz był już nawet faktem. Przypominano wspólne plody: a więc „gentleman agreement” w sprawie sytuacji na morzu Śródziemnym, a więc korespondencja między Mussolinim a Chamberlainem, a więc powrót dziennikarzy włoskich do Londynu, a więc zdenerwowanie prasy niemieckiej, a więc zapowiedź wizyty Edena.

Mnożyły się argumenty, dowody niezbita, nawet historiozofia w myśl której zbliżenie angielsko-włoskie jest historyczną koniecznością, przewidzianą przez największych intelektualistów obu narodów. Jak wiadomo, w XX-ym wieku namnożyło się tyle historiozofii — że nie trudno o znalezienie odpowiedniej dla każdej okazji. Otóż w myśl tych przewidywań ślub obydwu stron był nieunikniony.

Atoli okazało się, że strony nie były sobie nawzajem dostatecznie sympatyczne. Kwestia owej sympatii znalazła swój jaskrawy wyraz, gdy dnia pierwszego września, na łamach faszystowskiej „Stampa” ukazała się następująca notatka:

„Sytuacja międzynarodowa staje się coraz bardziej niejasna i niespokojna. Niebo, które rozjaśniło się jeszcze kilka tygodni temu chmurzy się znowu. Przyczyna tej zmiany tkwi w Londynie. Anglia nie przyjęła żadnej decyzji, mimo intencji premiera Chamberlaina, ale jej ciała kierownicze przyjęły postawę bezwzględnej milczenia, co dało pole do popisu dla sił rozkładu.

Elementy lewicy we Francji, które dominują w gabinecie Chautempsa, są upoważnione do wszczęcia kampanii, która ma wszystkie cechy szaleńczej nieodpowiedzialności. Jeżeli projekty komunistyczno-socjalistyczne we Francji zaczną się realizować — jutro rozpocznie się najkrwawsza wojna światowa.

Wyrównanie genewskie, o którym mówią w Paryżu ośmiemy się i zapadnie w próżnię, ale Anglia powinna czuć, że środowiska i organy odpowiedzialne nie zasilały tęgą się ognia. Czemu więc można w Londynie zauważyć wszczęcie odnowa ostrych polemik przeciw narodowo-socjalistom, dając tym samym broń do ręki tym, którzy pragną wciągnąć Anglię do krucjaty antyfaszystowskiej?”

Dnia 2-go września „Stampa” włoska jeszcze jaśniej formułowała swe żądania w stosunku do Anglii:

„Manifestacja pewnego oporu, ze strony Londynu wystarczy, by uspokoić pewne historyczne tendencje burzyielskie, jakie przejawiał rząd w Paryżu. Nie zaprzestaniemy powtarzać: Foreign Office ma zawsze możliwość doprowadzić do rozsądku potworów paryskich, pod warunkiem, że nie pozwoli się wciągnąć w wir kampanii antyfaszystowskiej, która posiada nad brzegami Tamiży swych zwolenników. Jako przykład może służyć stordedowanie okrętu wojennego angielskiego na morzu Śródziemnym. Jeśli był atak, to spowodowała go czerwona łódź podwodna. Żaden logiczny argument nie mógł by przypisać tego ataku ludziom narodowym. Jesteśmy zdumieni powodu bezczelności, z jaką kilka pism mówiło o włoskich łodziach podwodnych. Można łatwo zrozumieć, czemu Walencja, szukając ratunku w wojnie światowej, za wszelką cenę prowokuje te incydenty.

W tym samym czasie, odbłask wojny chińskiej staje się coraz groźniejszy, szczególnie jeśli chodzi o Anglię. W Palestynie rozpoczęła się krwawa guerrilla”.

Tyle „Stampa”. Dominujący akcent w tych wypowiedziach — to obawa przed wejściem Anglii w skład frontu państw demokratycznych. Wołanie o historię francuskiej przypomina tylko ową wizytę w domu dla obłąkanych, gdzie inteligentny pacjent tonem wielce tajemniczym szepce na ucho gościowi:

— Proszę pana, tu u nas wszyscy są zdrowi, oprócz pana i pana dyrektora zakładu...

Owe łodzie podwodne, owe guerille

arabskie, do których dziwnym zbiegiem okoliczności nawołuje speaker radia włoskiego w Afryce, przemawiający po arabsku, owe nawoływania do zduszenia „potworów paryskich” — to wszystko razem stwarza atmosferę, w której męzo wie stanu Anglii, w odpowiedzi na propozycję zawarcia ślubu z uroczą Italią, mogą tylko odrzec:

— Il ne m'est pas tellement sympathique!

O CO TEN GWALT, O CO TEN KRZYK!

Zdenerwowanie prasy włoskiej w pierwszych dniach września osiągnęło swój punkt kulminacyjny. Ostrze napaści jest skierowane przeciw Francji, głównej sprawczyńi zdenerwowania włoskiego, jako też przeciw Anglii, która nie zdołała „uspokoić” swojej sojuszniczki. Jak gdyby dla zainicjowania zwrócenia osi Berlin — Rzym, w odpowiedzi na zwrócenie osi Londyn — Paryż, z wielkim szumem rozpoczęły się przygotowania do podróży berlińskiej Duce.

Słowa wygłoszone w Palermo: „droga do Rzymu prowadzi przez Berlin i vice versa” mają rzekomo stać się rzeczywistością w najbliższym czasie...

Rabek zasłony odkrywa pismo „Il Popolo d'Italia” z dnia 1 września: (cytaty z prasy włoskiej podług genewskiego „Journal des Nations”):

„W Londynie są pod wrażeniem, że wskutek upadku Santander, Francja, a raczej tak zwany front ludowy francuski zamierza pójść śladami Rosji komunistycznej, zajmując z otwartą przylibą stanowisko interwencji na korzyść czerwonych w Hiszpanii. Formuła oficjalna, jaką się przyjmie w Londynie... jest następująca: „polityka nieinterwencji Francji może ulec w najbliższym czasie pewnym zmianom. „Pierwszy sygnał, że „pewne zmiany” są przewidziane, stwierdzono wówczas, gdy dokonano odkrycia, kilka dni temu z wpływem w dniu 21 sierpnia ważności dekretu z dnia 21 lutego, dekretu, który zabrania wyjazdu ochotników z Francji do Hiszpanii — rząd francuski nie wydał żadnej nowej

ustawy dla przedłużenia ważności tego. W stanie rzeczy taki sposób od dziesięciu dni nic nie stoi na przeszkodzie temu, by przez granicę francuską napływali ochotnicy do czerwonej Hiszpanii.

„To znamienne „zapomnienie” rządu francuskiego uczyniło rzecz jasną wrażliwość nawet w Anglii, jak również i w innych krajach, które od 21 lutego, w zgodzie z przyjętymi zobowiązaniami wobec komitetu nieinterwencji, lojalnie utrzymują zakaz wysyłania ochotników do Hiszpanii...”

To nie jest anegdota: czytelnik nie powinien roześmiać się. „Il Popolo d'Italia” pisze o tym na serio. Oto z miną niewinnych poszkodowanych, organ partii faszystowskiej, tej samej, której wódz odbierał po zdobyciu Santanderu uroczystą depezę od Franco, chwalać walczącej legionistów włoskich — pisze o lojalnym wykonaniu zobowiązań paktu o nieinterwencji...

Przyczyny zdenerwowania włoskiego pisma są jasne:

Po pierwsze, zwołanie konferencji państw śródziemnomorskich, z inicjatywy Francji — nie jest przyjemną inicjatywą w oczach pretendentów do zagospodarowania się nad „mare nostrum”.

Po wtóre, stwierdzenie przez Anglię zupełnej zgodności z tezami francuskimi, odbiega daleko od planów dyplomacji faszystowskiej spowodowania rozdźwięków francusko-angielskich.

Po trzecie, reakcja angielska na wyzyny „tajemniczych” łodzi podwodnych w morzu Śródziemnym, spowodowała bardzo oschły ton wobec Włoch.

Po czwarte, zapowiedź zmiany polityki francuskiej w stosunku do wojny hiszpańskiej przybrała realne formy właśnie w związku z nieprzedłużeniem zakazu wyjazdu ochotników: nie oznacza to jednak, by Francja praktycznie umożliwiała ten wyjazd. Nie ma jednak już żadnych prawnych hamulców dla wysłania armii ochotników do Hiszpanii z chwilą, gdy to uzna za wskazane.

Po piąte: zdobycie Santanderu nie wywołało oczekiwanego efektu, gdyż jed-

nocześnie rozpoczęła się zwycięska ofensywa republikańska na frontach Aragonu, Granady i Turuelu...

Jak widzimy więc, ten gwałt, ten szum i ten hałas jest zupełnie uzasadniony. Nie można mieć za złe faszystowskiemu dziennikarzom ich zdenerwowania, i to właśnie w myśl francuskiej formuлки: tout comprendre, c'est tout pardonner. — Zrozumieć — to znaczy wybaczyć...

CIERPLIWOŚĆ ANGLII.

Wylączamy stację nadawczą Rzym i łączymy się z Londynem.

Stordedowanie wojennych statków angielskich na morzu Śródziemnym wywołało w Londynie żywy niepokój. Cała prasa angielska jednogłośnie wypowiedziała się za zlikwidowaniem raz na zawsze obecnego stanu rzeczy na morzu Śródziemnym.

Daily Mail i Timesy, Daily Herald i Manchester Guardian — słowem, cała prasa angielska bez różnicy kierunków domaga się wyjaśnienia stanu rzeczy, jaki zaistniał po stordedowaniu wojennego statku angielskiego „Haverock”...

Głos zabrała admiralica angielska, a ci panowie z marynarki angielskiej wykazali podczas wojny światowej, że nie znoszą żartów na morzu... Cierpliwość morskich wilków była snadź tak nadwątłona, że angielskie ciury lądowe zamilkły.

Dnia 3 września odbyło się posiedzenie angielskiej rady ministrów, posiedzenie, które było poniekąd przełomowym. Havas tak ocenia to posiedzenie:

„Na posiedzeniu angielskiej rady ministrów we czwartek postanowiono wzmocnić flotę kontrtorpedowców na morzu Śródziemnym, jako też przyjąć projekt francuski zwołania zebrania państw śródziemnomorskich.

W odniesieniu do pierwszego punktu przewiduje się wysłanie nowej floty, to znaczy ośmiu kontrtorpedowców. Wszystkie wojskowe okręty angielskie, które towarzyszą okrętom handlowym otrzymały rozkaz strzelania, tępienia i ni-

Dr. Mojżesz Weissman

Walka ze swastyką i neopogaństwem

I.

Nowy prąd pogański, jaki ogarnął Trzecią Rzeszę, wypowiedział wojnę chrześcijaństwu i przeróżnym jego sektom, a w szczególności najsolidniejszym kiedyś na terenie Niemiec katolicyzmowi i protestantom. Zachwiał się łożo nie już przez pewien czas stosunki między Berlinem a Watykanem, co przyczyniło się do pogłębienia przenasici między orędownikami nowej „wiary” a obrońcami idei chrześcijaństwa. Co prawda nauka, którą nowi „apostolowie” szerzą gwałtownie i z rozmachem, nie jest nową, bo tkwi swymi korzeniami jeszcze w XIX w., kiedy to kongres antysemitów w Hamburgu i znany teoretyk tego ruchu Chomberlein wystąpił z nowymi hasłami religijnymi, jak emancypacja i uwolnienie chrześcijaństwa z pod wpływu judaizmu, tłumacząc to tym, że są to dwie oddzielne religie, które wzajem się wykluczają i zwalczają. W miejsce Pisma Św. proponowali „biblię germańską”, która będzie odpowiadała duchowi nordyckiemu nie mogącemu absolutnie strawić judaizmu pod zamaskowaną przykrywką chrześcijaństwa. Z oburzeniem zaatakowali Lutra i inne czołowe postaci z okresu reformacji zarzucając im, że wykonywali tylko połowiczną robotę przez to, że uwolnili się od tradycji kościelnej, co należało zastosować również w stosunku do biblii i innych judaistycznych elementów chrześcijaństwa. Nie oszczędzono przy tym żadnych świętości, nawet Chrystus, któremu zarzucano jego żydowski pochodzenie, gdyż pochodzą z Galilei, kraju pogranicznego i zamieszkałego przez różnorodną ludność był potomkiem obcej rasowo, przybył tam rodziny. A gdy chrześcijaństwo wzięło w obronę żydowskie pochodzenie Chrystusa i wykazało bezsensowność przeciwnej teorii, szermierze jej wystąpili jawnie przeciw Chrystusowi, bo był Żydem, a zatem i jego nauka nosi charakter żydowski. Emancypacja od Żyda Chrystusa i jego nauki stała się odtąd ich hasłem.

A czas dla nich pracował. Oto w 40 lat później powstaje w Niemczech prąd zwany wiarą trzecią (albo „Deutsche Glaubensbewegung”), która ponowiła dawne zarzuty przeciw żydostwu i chrześcija-

stwu. Ich zdaniem życie Chrystusa nie może służyć za wzór światu, gdyż jako Żyd pominał on w swej nauce czynniki tak decydujące, jak rasę, krew i honor. Należy wyrównać szkodę, jaką świat poniósł z winy chrześcijaństwa, by nie powtórzyło się więcej nadużycie popełnione na ludzkości. Dlatego też „Deutsche Glaubensbewegung” chce stworzyć nową religię, która uwolni państwo od wpływu Kościoła i zaspokoi potrzeby ducha germańskiego. W myśl zasad nowej wiary należy chrystianizm pozbawić opieki i zagranicą. Katolicyzm, który od 400 lat unika kontaktu z protestantami i resztą sekciarstwa chrześcijańskiego, tym razem pierwszy się przeprosił i wyciągnął dłoń do druha niedoli — protestantyzmu celem utworzenia wspólnego frontu przeciw propagandzie neopogaństwa germańskiego. A gdy protestanci zwlekali z odpowiedzią, katolicy jeli potępić ich opieszałość, wykazując im, że są więcej zagrożeni, gdyż z braku tradycji kościelnej skazani są jedynie na Pismo Święte, a to właśnie teraz jak nigdy przed tym jest atakowane. Rozumie się, że te argumenty przemówiły do uczuć całego chrześcijaństwa, tym bardziej, że rząd niemiecki przez zniszczenie autonomii kościoła ewangelickiego wszystkich obywateli zraził sobie niemieckich biskupów, rzucając ich tym samym w objęcia akcji katolickiej. Daleko wprawdzie jeszcze do jednolitego frontu, ale mnóstwo aresztowań w szeregach najwyższych dostojników protestanckich dowodzi, że kościół ewangelicki nie próżnuje, lecz rozwija szeroką akcję uświadamiającą mającą na celu obronę świętości prawd chrześcijańskich. Władze niemieckie nie cofnęły się nawet przed aresztowaniem berlińskiego biskupa Niemoullera, który poza działalnością duszpasterską posiada wielkie zasługi na polu wojennym, gdzie jako dowódca łodzi podwodnej w wojnie światowej zatopił wiele okrętów nieprzyjacielskich i za to otrzymał szereg najwyższych odznaczeń wojskowych. Ale to go mimo wszystko nie uchroniło od zarzutu zdrady państwa, pod którym to pretekstem wtrącono go niedawno do więzienia.

Te i podobne poglądy zaczęto szerzyć w Niemczech, a agitacja obecna przynosi lepsze plony niż owa z przed czterdziestu laty. Wtedy było to odosobnione żądanie małej grupy ludzi, która nie śmiała prosić rząd o pomoc, lecz skazana na własne siły pracowała w ciężkich warunkach, po części zakonspirowana, i nie marzyła nawet o tym, że kiedyś stanie pod ochroną państwa i jawnie będzie propagowała swoje herezje antychrześcijańskie. Z jednej strony rząd niemiecki prześladował duchowieństwo katolickie i protestanckie przez inscenizowanie procesów o zdradę lub o prze-

kroczenie przepisów dewizowych, z drugiej znowu strony popiera jawnie nowy ruch pogański niosący zagładę chrześcijaństwu i kulturze na nim opartej. Przy obecnej konstelacji nie równych sił i wydajnej pomocy państwa dla jednej ze stron walczących nie trudno odgadnąć, po czyjej stronie wypadnie ostateczne zwycięstwo.

Jakkolwiek będzie, na razie nowe zasady głoszone z niezwykłym tupetem i skutkiem poruszyły do głębi najwyższe czynniki kościelne zarówno w kraju jak i zagranicą. Katolicyzm, który od 400 lat unika kontaktu z protestantami i resztą sekciarstwa chrześcijańskiego, tym razem pierwszy się przeprosił i wyciągnął dłoń do druha niedoli — protestantyzmu celem utworzenia wspólnego frontu przeciw propagandzie neopogaństwa germańskiego. A gdy protestanci zwlekali z odpowiedzią, katolicy jeli potępić ich opieszałość, wykazując im, że są więcej zagrożeni, gdyż z braku tradycji kościelnej skazani są jedynie na Pismo Święte, a to właśnie teraz jak nigdy przed tym jest atakowane. Rozumie się, że te argumenty przemówiły do uczuć całego chrześcijaństwa, tym bardziej, że rząd niemiecki przez zniszczenie autonomii kościoła ewangelickiego wszystkich obywateli zraził sobie niemieckich biskupów, rzucając ich tym samym w objęcia akcji katolickiej. Daleko wprawdzie jeszcze do jednolitego frontu, ale mnóstwo aresztowań w szeregach najwyższych dostojników protestanckich dowodzi, że kościół ewangelicki nie próżnuje, lecz rozwija szeroką akcję uświadamiającą mającą na celu obronę świętości prawd chrześcijańskich. Władze niemieckie nie cofnęły się nawet przed aresztowaniem berlińskiego biskupa Niemoullera, który poza działalnością duszpasterską posiada wielkie zasługi na polu wojennym, gdzie jako dowódca łodzi podwodnej w wojnie światowej zatopił wiele okrętów nieprzyjacielskich i za to otrzymał szereg najwyższych odznaczeń wojskowych. Ale to go mimo wszystko nie uchroniło od zarzutu zdrady państwa, pod którym to pretekstem wtrącono go niedawno do więzienia.

Skład artykułów

technicznych i wodociągowych

J. KUPFERBERG

Białystok, ul. Kilińskiego 14

Tel. 358

szczenia każdej łodzi podwodnej, która popełni akt napaści przeciw okrętowi brytyjskiemu. Zostały zupełnie rozproszone wahania angielskie w odniesieniu do propozycji współpracy państw leżących nad morzem Śródziemnym...

Wymiana wzajemnych informacji pozwoliłaby chyba złowić i unieszkodliwić łodzie podwodne, które są sprawcami jakiegokolwiek napaści.

Ambasador Hiszpanii w Londynie odbył konferencję z Lordem Cranborne na temat problemów genewskich. Wiadomo, że rząd Walencji zamierza wysunąć szereg oskarżeń w stosunku do Włoch.”

Oto komunikat Havasa, którego wy-mowa nie da się ukryć. Oznacza to, że ani upadek Santanderu, ani harce łodzi podwodnych na morzu Śródziemnym nie zdołały wywołać efektu spodziewanego przez Rzym.

Wręcz odwrotnie: Anglia przerwała pieśń włoską, pieśń, niedośpiewaną do końca. Zupełnie słusznie publicysta paryskiego „Echo de Paris”, Interim, tak ocenia sytuację:

„Rząd angielski nie oznajmił jeszcze, jakie stanowisko zajmuje, co jest zresztą zupełnie jasne w obliczu tak poważnej dyskusji, która się teraz rozpoczęła. Nie ulega wątpliwości, że rząd angielski wolałby, by formułka nieinterwencji została w mocy aż do zakończenia wojny domowej.

Jednakowoż niezręczności Włoch, których żalują nawet ich najbardziej oddani przyjaciele, wywarły wręcz odwrotny wpływ na stanowisko Neville Chamberlaina i na politykę zlagodzenia stosunków między Rzymem a Londynem, do jakiej zdążył.

Jeśli z winy Rzymu Paryż jest zmuszony do zrewidowania swego postępowania — to Europa znajdzie się znowu wobec niebezpiecznych możliwości, które zmusiły narody do zawarcia paktu nieinterwencji, by ograniczyć i zmniejszyć niebezpieczeństwo konfliktu hiszpańskiego.”

POCHOWAĆ TRUPA!

W tej sytuacji międzynarodowej ciekawą jest perspektywa rozwoju prac komitetu nieinterwencji.

Przy tej okazji należy zwrócić uwagę, że terminów międzynarodowych nie należy brać zbyt poważnie. Pseudonimy istnieją nie tylko w literaturze. Często pseudonim jest pseudonimem wojny, nieinterwencja — interwencją, zaś prace t. zw. komitetu nieinterwencji są tylko pseudonimem — hamulca dla wszelkich poczyną.

Otóż atak przeciw komitetowi nieinterwencji jest prowadzony obecnie z dwóch stron.

Prasa faszystowska, jak naprzykład „Tevere” rzuca hasło: „pochować tego trupa!” Uważają w Rzymie, że zlikwidowanie komitetu nieinterwencji doprowadzi do przyznania generałowi Franco praw strony wojującej. Tym samym umożliwią szereg posunięć profrancowskich...

Z drugiej strony przyjaciele republiki hiszpańskiej pragną czym prędzej zlikwidować komedię nieinterwencji, by umożliwić wydatną pomoc dla Walencji. Stąd paradoksalna sytuacja: zarówno przeciwnicy, jak zwolennicy Walencji i republiki hiszpańskiej są zazartymi przeciwnikami komitetu nieinterwencji, a komitet ten jednak nadal ...istnieje.

Istnieje siła bezwładu, wskutek ślepej uliczki, w jakiej znajduje się polityka angielska. Należy przypuszczać, że wizyta berlińska Mussoliniego — jeżeli ta wizyta w ogóle dojdzie do skutku, jeżeli nie okaże się tylko inscenizacją — może wywołać wręcz odwrotny skutek i przełamać rację istnienia tego komitetu: wahania Anglii

A propos wizyty Mussoliniego w Berlinie — należy wyjaśnić, że faire chanter po francusku nie oznacza — jak to przełożyło jedno z pism: kształcić w sztuce śpiewania, ale szantazować. Stąd: maitre chanteur. A propos pieśni niedokończona.

Outsider.

ROMAN BRANDSTAETTER

INNA ILJADA

Człowieka gniew śpiewaj muzu, w granatowy mundur
Odziana.

Zmierzcha. Zwolna dzień się kruszy. Czy słyszysz jak z dzbana
Gęsta noc się wylewa? Już cieknie po palcach
Olej czarny i gorzki. Na grząskich polanach
Grzmi suchy trzask jałowca. Tych pół groźna skarga,
Która we mnie i w tobie, w gwiazdach i w ogniskach
Umęczonych. Któż dzisiaj garść popiołu rzuci
Dzieciom, ryczącym nienawiść w stalowych kołyskach?
Dla ciebie chude lato werbel rewolucji,
Dla ciebie parciane lato, wtopione w horyzont
Jak w obreż ścisłą — w ulach pszczoł mosiądz,
Dla ciebie na drabiniastych polach noc do stodoł zwożąc,
Śpiewem wytyczam, sierpem, tę drogę wyboistą.
Dla ciebie klaska rzeka.
Dla ciebie w męski sad zapada anioł.
Dla ciebie na zarzniętych mieczem pobojuwiskach
Skuczysz historja.
Dla ciebie muchy tną wierzgający skwar,
Który szczypie suchą koniczynę.
Powalone mrokiem barczyste osady
Chrapią, gdy księżyc kąsa pierzchające wzgórza;
Wówczas w sieci
Nieba, uplecioneo z błyskawic dźwigam twoją głowę
Odptywający świecie!

Północ jak wół o zadzie kościstym i zapadłym,
Rogami włóczy niebo,
Czad trwogi opływa pierś i klęskę człowieka;
W cieniu płotów, witych z gnijącego snu
Czarny Agamemnon tarza się w płachu i szczeka.
Przekłuwam tę ciszę jak ucho: dzwonią kolczyki łańcuchów
W każdej oczywiście;
Spływa marsz pogrzebowy z jej ciała jak welon,
Kwaśny sierpień miazdżony twardemi szczękami
Śtychych wsi, szerniałych i opuchniętych od głodu.
Płaczą moje oczy,
Bo rdzawy chleb pogorzelisk głodnych nie nakarmi
I stopa wiersza nie dźwignie karków z buntu odlanych!

Noc jak zgazonny pancernik, zwal trupów na dziobie,
Czas dzwoni w ładownicach i zmierzcha cięży w tornistrze.
Wtedy krokami muzy odmierzone wieki
W otwartych katakumbach: w czarnych ustach;
Wtedy ręce w górę wznesione jak zrąbane flety,
Z których muzyka z krwią uszła.

J. Bleiberg

Kulisy życiowej gry

Na teatrze Szekspira widniał następujący napis: Totus mundus facit historionem — cały świat udaje blazna, składa się z aktorów, odgrywających swe role na jego wielkiej scenie. W krótkim tym aforyzmie, powtórzonym i rozwiniętym w jednej z szekspirowskich komedii (Jak wam się podoba — akt II, scena 7), sformułowana została i spopularyzowana przez Jewreinowa teza o teatralności życia, wypływającej, jego zdaniem, z właściwego człowiekowi instynktu teatralności, odgrywającego nawet większą rolę od instynktu seksualnego i samozachowawczego. Zasadę „teatralizacji życia” podniósł twórca „Tego, co najważniejsze” do godności teorii uniwersalnej przy pomocy której usiłował wyjaśnić zjawiska życia ludzkiego. To *normatywno-dogmatyczne* stanowisko Jewreinowa wywołało w swoim czasie bardzo żywą, i długotrwałą polemikę. Wskazywano w niej na jednostronność teorii, na jej nieuzasadniony filozoficzny „rozmach”, na nieustalone znaczenia terminu „teatralność”, nieokreślenie bliżej przez Jewreinowa, ponieważ sądził on, iż nie można zmieścić „oceanu w misce od zupy” — ująć w ciasne ramy definicji tak ogólnego i powszechnego zjawiska.

Krytycy jewreinowskiej, teatralno-filozoficznej doktryny nie kwestionowali jednak podkreślonej przez niego doniosłości i pierwotności instynktu teatralnego, występującego już w zabawach dzieci, opartych na podstawowym założeniu teatru: na wierze w fikcję i cichej umowie, uznającej zainscenizowane sytuacje za rzeczywiste. W realizowaniu swego „teatru” dzieci wykazują bardzo dużo fantazji. Przy pomocy najprymitywniejszych rekwizytów, a często i bez nich, tworzą „wielkie” dramatyczne widowiska, w których dają upust niewyżytym skłonnościom i tendencjom i dlatego obserwacja zabaw dziecięcych takich, jak: w zbójców, w żołnierzy, detektywów, indian i t. p. jest tak doskonałą sposobnością do poznania psychiki przyszłego człowieka.

Jest rzeczą oczywistą, że *instynkt teatralności*, tak silny i wyraźny u dzieci, nie zanika bynajmniej w wieku późniejszym. Ulega tylko przekształceniu i swoistej ewolucji, uwarunkowanej wymaganiami życia. Tworzenie teatru staje się stałą biologiczną funkcją. Wciąż gramy mniejsze lub większe role, jesteśmy gwiazdoram, lub statystami, inscenizujemy i reżyserujemy życiowe widowiska, kłamiemy, zmyślamy, przesadzamy, udajemy, tworzymy fikcje, ulegamy złudzeniom i t. d. Stąd też pochodzą liczne zwroty mowy potocznej, takie np. jak *rola*, *scena*, *komiczna figura*, *dramat* i t. d., zapożyczone z terminologii teatralnej i

zastępowane w dziedzinach, nie mających nic wspólnego ze światem teatru.

Zagadnienie „teatralizacji życia”, związane u Jewreinowa z poglądem na leczniczą i rewolucyjną rolę teatru, jako środka przekształcenia rzeczywistości, posiada więc oprócz aspektu literacko-artystycznego także aspekt ogólny, niezależny od takiego czy innego artystycznego wyznania wiary. Z tego też punktu widzenia rozpatruje interesujący nas problem wybitny socjolog *Aleksander Hertz* w swojej pracy *p. t. O aktorstwie poza sceną teatru. W-wa 1937*. Chodzi w niej o socjologiczną analizę pierwiastków teatralności w ludzkim współżyciu, w międzyludzkich stosunkach, w konkretnych faktach życia społecznego. Wskazując na wstępie na elementy gry aktora zawodowego, opartej na literackim tekście i pewnym intepretacyjnym wzorze, wyznaczonym przez dotychczasowe tradycje teatru i ustalone reguły i metody sztuki aktorskiej, twierdzi autor, iż granica między rolą w sensie scenicznym a rolą w znaczeniu życiowo - społecznym jest bardziej płynna, niż to się nam na pozór wydaje. Posiadanie zawodowych kwalifikacji i należenie wskutek tego do oddzielnej grupy społecznej oraz fakt umiejscowienia pracy aktora na ściśle określonym terenie, nie rozstrzygają bynajmniej możliwości istotnego, wewnętrznego podobieństwa między grą sceniczną i życiową. Podobieństwo to bowiem wyraża się w podstawowych, organicznych składnikach pracy aktorskiej, a nie w jej zewnętrznych, organizacyjno-zawodowych atrybutach.

Terminologią teatralną posługujemy się najczęściej wówczas, gdy chcemy podkreślić fakt obłudy, udawania, świadomej gry, operującej wprowadzającymi w błąd pozorami, gdy ktoś na przykład zachowuje się w ten sposób, aby uchodzić za szlachetnego, hojnego lub wierzającego, nie będąc nim w rzeczywistości. *W zachowaniu się takiego człowieka odnajdujemy wszystkie zasadnicze elementy aktorskiej gry*. Jak aktor zawodowy realizuje on swoją rolę przy pomocy pewnego tekstu. Nie jest to tekst w dosłownym literackim znaczeniu wyrazu, ale raczej ogólnie - społecznym. Przez tekst rozumiemy tu pewien *tradycyjny wzór, obejmujący odpowiednie zwroty, sytuacje, gesty, tworzące pożądany psychiczny obraz*. Kto chce udawać szlachetnego, ten musi naśladować ustalone psychologicznie schemat szlachetności, poznać „obyczajowy” nie pisany tekst obranej roli. Zależnie od poziomu intelektualnego „życiowego” aktora będzie ona także mniej lub więcej zależna od literackich wzorów, od wpływów lektury, teatru lub kina, wywierających przenośny wpływ na życie społeczne

Dr. M. Krämer

Dr. Schwadron i jego zbiory

Że posiadamy dziś różnego rodzaju zbiory, o niezwyklej nieraz wartości—zawdzięczamy najczęściej pojedynczym osobom — fanatykom danej sprawy, którzy poświęcili jej całe swe życie. Zbiory takie we wszystkich krajach, obejmujące zabytki sztuki, rzadkie druki, i t. d. przechodzą z czasem na rzecz państwa i stanowią często podstawę pod odpowiedni dział *Muzeum Narodowego*. Istnieje literatura poświęcona zbieraczom; są to przeważnie ludzie, żyjący w niezbyt świetnych warunkach materialnych, a których słabość do kolekcjonowania określana jest zwykle przez prostaków, dosyć „prozaicznie”: „ma coś w głowie w nieporządku...” I my Żydzi, jeśli posiadamy różnego rodzaju zbiory, zawdzięczamy je naszym swoistym fanatykom, którzy kulturze żyd. więcej się tym zasłużyli, niż nie jeden pisarz i uczyony, wystarczy jeśli wskażemy na Dr. Chazanowicza z Białegostoku, Dr. Wachsteina z Wiednia, u nas w Polsce np. Goldsteina, Minza i in.

W tej własnej grupie poczesne miejsce zajmuje nasz rodak, złoczowianin, Abraham Schwadron, któremu dziś cała publicystyka żydowska składa hołd i uznanie z okazji 40-lecia bodajże jedynych w swoim rodzaju zbiorów, autografów i portretów. Jeśli pojawi się kiedyś wyczerpująca monografia o zbieraczach autografów, począwszy od Antoine de Brienna w pocz. XVII w., wśród których znajdzie się i wielu Żydów (A. M. Cohn, prof. Darmstädter, Rotschild, L. Koch, Stefan Zweig i in.), to rozdział o specyficznym żyd. zbiorach wypełni całkowicie omówienie kolekcji szwadronowskiej, która dziś, już jako własność Biblioteki Narodowej w Jerozolimie, liczy przeszło 3500 autografów i 2500 obrazów osobistości żydowskich. Jest to po prostu żywa historia żydostwa od w. XV, ale też każda z owych 6000 pozycji stanowi dla

siebie oddzielną historię, którą przechowuje w swej doskonałej pamięci Dr. Schwadron. Mógłby chyba opowiadać o nich całymi miesiącami, każdy zaś szczegół ilustrować wymownym dokumentem—poza osobistymi staraniami poszło w świat w ciągu tych 40 lat około 70.000 listów! A historia zbiorów zaczęła się, jak zwykle, dosyć prosto i niepozornie. 16-letni chłopak, czytając książkę Güdemanna „Geschichte des Erziehungswesen” natrafił w niej na dokument, oznaczony przez autora znakiem zapytania, który jemu jednak wydawał się zrozumiały. Piszcie więc list do autora, ówczesnego nadrabina w Wiedniu i, co za radość, otrzymuje ze stolicy odpowiedź. Od tego się zaczęło! Piszcie jeszcze do kilku innych osobistości i otrzymuje od nich odpowiedzi. Wielej ludzi! Coś zupełnie obcego i dalekiego dla chłopaka z małego galicyjskiego miasteczka — oni pisują książki; ma w rękę ich pismo. Tak więc piszą „wielecy”? Zaczął też zbierać obrazki i zdjęcia. Tak więc „oni” wyglądają. W międzyczasie dowiaduje się, że w Paryżu, Londynie, Norymbierdze znajdują się potężne zbiory autografów. Dlaczego więc i Żydostwo nie miało czegoś podobnego? Zaczął więc gorliwie kolekcjonować, wówczas, gdy jeszcze mowy nie było o Bibliotece Narodowej, muzeum, archiwum, zwracał się do różnych osobistości o ich podpisy dla swego albumu. Ile trudu kosztowało go zdobycie każdego adresu, ile chwil zniechęcenia, gdy niejedną z „wielkich” nie uważał za stosowne odpowiadać. Zaczęło się też poszukiwanie sprzedawców autografów i kupowanie najtańszych z ich „towaru”. Jednocześnie wyłoniła się inna trudność, jak doćcie, który z wymienionych w katalogach jest Żydem, lub pochodzenia żyd., nie mając do dyspozycji większej biblioteki, ani leksykonów.

kategorią życia społecznego. Każda grupa społeczna ma swój historyczny „tekst”, ideał-wzór, wyznaczający jej rolę w społeczeństwie i będący podstawą jej oceny roli innych grup społecznych. Każda przyznaje sobie rolę główną, innym zaś wyznacza rolę epizodyczną. Krzyżowanie się różnych poglądów na rolę poszczególnych grup społecznych tworzy dramatyczną treść życia społecznego, jego teatralną dynamikę. Równowaga społeczna zostaje zakłócona wówczas, gdy jakaś grupa usiłuje przełamać tradycyjalny podział społecznych ról, gdy wychodzi z roli, wyznaczonej jej przez panujący porządek rzeczy. *Wszelkie ruchy emancypacyjne są takim wypadaniem z tradycyjnie ustalonej roli i przyjęciem nowej, przynależnej warstwie wyższej, uprzywilejowanej, panującej*. Grupom, warstwom lub narodom, dążącym do wyzwolenia zarzuca się zawsze arogancję, brak taktu, zachłanność, niegrzeczność, dlatego właśnie, że usiłują one na arenie dziejów zająć miejsce, którego dotychczas nie zajmowali, że tworzą sobie nowy „tekst” dla swej zmienionej dziejowej roli. Gdy murzyni domagają się ludzkiego traktowania, zarzuca im się brak kultury i umiaru. I o Żydach mówi się w pewnych środowiskach, że są arogancy, natrętni, zachłanni, ponieważ wprowadzają istotne korektury, do dziejowego scenariusza. Żydów z średniowiecznego ghetta nie spotykały te zarzuty, bo oni nie wypadali ze swojej roli, byli grzeczni, posłuszni, nie „rzucali się”, zachowywali się dyskretnie...

Swoje interesujące wywody ilustruje autor również przykładami, zacierpniętymi z literatury m. in. z „Ludzi bezdomnych” Żeromskiego. Ich bohater Dr Judym uważany jest w swym nowym środowisku za aroganta i przykrego człowieka, ponieważ połączył dwie sprzeczne role: syna szewca i lekarza. Jest przy tym na tyle nietaktowny, że podkreśla swe niskie pochodzenie drażniąc w ten sposób ludzi ze sfery wyższej, stykających się z nim na płaszczyźnie jego pracy zawodowej, nie „nieszczącej się w „tekście” roli społecznej rzemieślniczego syna.

Praca Dr. Aleksandra Hertza jest ciekawą próbą socjologicznej analizy zagadnienia teatralności życia, rozpatrywanego dotychczas przeważnie z literackiego punktu widzenia. Stanowi ona jedną jeszcze ilustrację zacytowanego przez nas na wstępie szekspirowskiego aforyzmu, upatrującego istotę ludzkiego zachowania się w teatralnej grze. Nawiazując do tego poglądu Goethe pisał: „Chętnie wybaczam aktorowi wady człowieka, nie mogę natomiast wybaczyć człowiekowi wad aktora...”

A tu, jakby jakieś fatum chciało go odstręczyć od tej żmudnej roboty—kiedy posiadał już 200 nabytków, które skrzętnie przechowywał na... strychu, padło ich domostwo pastwą pożaru (w 1900 r.). Nie zniechęcił się jednak, w przeciągu lat 14 zebrał znów około 600 pozycji, które z wielkim trudem udało mu się z wybuchem wojny przesłać do Wiednia, za pośrednictwem jednego z uchodźców. W dalszym zbieraniu musiał już Schwadron pójść na drogę starań osobistych, ogłoszeń, druków i t. p. Najdrobniejsza informacja wymagała nieraz kilku czy kilkunastu listów, a ludzie i to najczęściej „wielecy” okazali się nieraz tak mało uczynni, że Schwadron wspomina o tym nie bez pewnego sarkazmu. Jeśli jednak wśród żydostwa zachodnio-europejskiego nastroczały się głównie tego rodzaju trudności, to mnożyły się one wielokrotnie odnośnie Żydostwa wschodnio-europejskiego. Przede wszystkim wiele z listów i zabytków zginęło podczas pogromów, wojen, wśród Żydów wschodnich nie było też najczęściej zrozumienia dla przechowywania i porządku. Nierzadko więc ważny dokument znajdował się wśród kart gemary. Są i tego rodzaju dokumenty, które uchodzą za talizmany i takich żaden Żyd wschodni nie sprzeda nawet za duże sumy. Inne znów zachowały się najczęściej w bardzo zniszczonym już stanie. Trudno jednak powtórzyć tu dokładnie dzieje tych zbiorów, choćby do r. 1926, w którym umieszczone zostały w Bibliotece Narodowej, stanowiąc niejako podstawę pod przyszłe Muzeum Narodowe, a chwilowo doskonale uzupełnienie zbiorów Biblioteki Uniwersyteckiej i archiwum syjonistycznego.

Trudno też zapoznać czytelnika powierzchownie przynajmniej z zawartością tego potężnego zbioru, obejmującego wszystkie największe osobistości żyd. ostatnich stuleci, a także i tych co porzucili Żydostwo, lub zajmowali się kulturą żydowską. Na chybił trafił wybieramy więc tylko kilka teczek: w jednej mieści się oryginalny patent Siegfrieda *Marcusa*, wynalazcy automobilu, w drugiej fragment z rękopisu Mendele Mocher Sfarim „Klacz” („Sasathi”), dalej teczka rodziny Mendelsohnów, 5 pokoleń od Mojżesza z Dessau do profesora Uniw. oksfordzkiego Albrechta, inna zawiera podpis Karola Marksa, listy Mojżesza Hessa, rewelacyjny list *Heinego*, w którym pisze m. in., że żałuje, iż się „przechoił, tu znów jedyna zdaje się zachowana karta z pinaksu ziemi lwowskiej, albo też notesik Cesarza Lombrosa, będącego dziennikiem jego podróży po Europie. Ostatnie teczki, które leżą przed mną, to Herzla z jego ostatnim podpisem w Edlach i manuskrypt *Einsteina* „Teorii względności”. A przecież to zaledwie kilka pozycji z pośród tysięcy, wśród których znajdują się autografy: J. Karo, Isserlesa, Eibenschützta, gaona z Wilna, Krochmala, Majmona, Grätzta, Geigera, Mapu, Gordona, Braunera, Kaliszera, bar. Rotschilda, Acham - Haama, Nordaua, Trumpeldora, a z działających nie na polu Żydostwa: Schnitzlera, Wassermana, Altenberga, Kaffki, G. Brandesa, Palgradca, Disraeliego, Cremieux, Rathenaua, Zamenhofa, Gerszuniego, Martowa, Róży Luxenburg, Freuda, Topper-Lynkenasa, Wassermana, Schwarza („Zeppelin”), Offenbacha, Rachel, Sary Bernhardt, Brahma, M. Liebermana, Antokolskiego i i. Wreszcie z posiadaczy nagród Nobla: Bergholna, Assera, Freuda, Einsteina, Michelsona, Ehrlicha, Miecznikowa, Meyerhofa i i. Wyliczyłem tu tylko niektóre, by czytelnik mógł się zorientować w zasięgu i zawartości zbiorów Schwadrona, doskonale zresztą zinwentaryzowanych i skatalogowanych. Już niejednokrotnie, posłużył one jako materiał przy opracowaniu monografii, identyfikacji pisma i zdjęć. Istnieje np. jakiś portret Mendelsohna, w jakimś wydawnictwie polskim, a w rzeczywistości jest to portret Melanchtona. W innej znów (Abr. Kaliane „Sefer hachasiduth”) portret Beszta okazał się zdjęciem Dr. Fallicka. G. Bader w książce „30 pokoleń Żydów polskich”, która wyszła w Nowym Jorku jako portrety Beszta, Bära z Międzyrzecza i Josefa Kahana zamieścił ni mniej ni więcej, tylko Gutmachera, Szmuela Salanta, i J. Bära z Bełzca. Takich „kwiatków” zebrał dotąd Schwadron jeszcze wiele. Pomijam już jeden z najważniejszych momentów, a to, że mieści się tu materiał dla długoletnich badań grafologicznych i psychologicznych, w odniesieniu do osobistości świata żyd. na ogół zaniedbanych.

Chciałoby się jeszcze wiele pisać o tych zbiorach, a i o samym zbieraczu, doskonałym publicyście i jednej z ciekawych postaci w jiszowie. Życzyć by sobie należało, by jaknajszersze warstwy społeczeństwa żyd. współpracowały w kompletowaniu tych zbiorów. Drugie życzenie pod adresem instytucji i wydawnictw, by przystąpiły do wydania *facsimilium* i inwentarium żydowskiego, jako wstępnej pracy dla ogólnej żydowskiej biografii i ikonografii.

TEODOR HERZL

OGRÓD LUDZKI

Dzieci i prostytutki z prawdziwą przyjemnością zwiedzają ogród zoologiczny. Są tam do obejrzenia rzeczy, które przemawiają potężnie do naiwności, w mowie, jakiej znajomość ztraconą została dla uświadomionych. Z tej i z tamtej strony krat klatki spoglądają sobie w pokrewne czy wolne i uwiecznione okazy natury. Ci przed klatką i owi w klatce są jednak etapem tego samego cudownego procesu rozwoju, którego początku, ani końca nikt nie jest w stanie ujrzeć i poznać. W rozmaitych razach, w wierze i w zwiątpieniu, wyrażaliśmy to najróżniej, a formuła, do której doprowadza nas monizm, po najodleglejszych wędrówkach po przez świat i po najgłębszym wnikięciu we własną istotę, brzmi przyciszonymi słowy: jesteśmy tylko wcieleniem jedynej niezwykłej siły.

Podczas owych łagodnych dni letnich, kiedy wszystko wabi nas z nędznych domów i dusznych ulic, oraz gdy lasy po za miastem zieleni się na nowo i wypełnia miłym świergotem, naówczas owe stare myśli również stają się w nas żywymi ponownie. Nieomal wydaje się nam, że myślimy je po raz pierwszy, a to dlatego, że ziemia paruje przed nami ciepłym tchnieniem odmładzającego się macierzyństwa. A każdy krok w posród porannej rosy staje się prawie pełnym woni słodkiej przędzy. Nawet te sprawy zwykłe, które widywaliśmy wielokrotnie, które powracają co roku, — budzą w nas tkliwość; są to trawy, miłe kwiaty, zwierzątka na ziemi i żartobliwe ptaki za gałęziach. A kiedy na raz przed oczyma naszymi staną w taki dzień letni obce rośliny, nieznane zwierzęta i ludzie odmienni, wówczas przelotnie owiewa nas niby sennie marzenie, iż jakby znaleźliśmy się w ogrodzie, który o zorzy świata zakwitnął w Edenie, a bynajmniej nie w poszednim lasku przedmiejskim.

A przecież jest to niewątpliwie jeno dobrze nam znany las i odbywają się przed nami sprawy dość powszednie. Toć że na Praterze zgromadzono sporą garść „dzikich“ ludzi i zwierząt, dostarczyli je przedsiębiorcy dla przyjemności ciekawskich, którzy nigdy sami nie odważą się na takie odległe podróże. Widzi się tu Samoanczyków, Syngalezów i Aszantów, a w klatkach, poza grubymi kratami z żelaza, poza rowami i barierami oglądamy przeróżne okazy bydła, płazy i gości skrzydlatych. Czego tu nie ma?! W jakież to kształty przebierają się gatunki, pragnące utrzymać się w walce o byt! I wśród jakich okropności i przerażeń odbywa się ta walka, skoro jedne zwierzęta bronią się nie przeniknionym pancerzem, inne zbroją się pazurami, lub trucizną, lub ostrymi dziobami; jeszcze inne szukają zbawienia w nieustannej ucieczce. A do jakichże to głupstw miłosnych, lub stopni piękna, posuwa się żywymi szlakami ciemna żądza wydania na świat następnego pokolenia!

Już na samym wstępie do ogrodu zoologicznego, tuż po za turnikietem Prateru, postrzegamy potworność i komizm owego *strussie for life*, ucieleśnione w dziwacznych okazach ptactwa drapieżnego i małpiego rodu. Dreszcz tajemniczy przenika nas przy spojrzeniu na owe ptaki drapieżne, które sterczą na opatrzonych w ostre pazury łapach, bezradne i niepocieszone. One to oczywiście najbardziej cierpią w niewoli, ponieważ znana jest im rozkosz bujania w bezkresnym niebie. Ich właściwa istota poddaje się tutaj z trudem badaniu; może są chore umysłowo, jeżeli wolno użyć tego określenia w stosunku do zwierząt. Nie jest-li to nie potrzebna tortura, gdy trzymają się takie stworzenia w odrutowanych klatkach i karmi się je, aby żyły jak najdłużej. Sęp sentymentalny nie jest już w ogóle sępem. Należałoby te ptaki drapieżne zabijać i wypychać; wystarczyłoby to dla zaspokojenia ciekawości dzieci. Jest to bodaj wspaniała i czysto męską uciechą zestrzelić z obłoków takich rozbójników podczas lotu; ale niewątpliwie kryje się w tym coś haniebnego, gdy się je więzi. Jeżeli nie służy to poważnym celom badania, to jest w tym w pewnej mierze przestępstwo przeciw naturze.

Są wprawdzie zwierzęta, znające radość wielkiej wolności, które potrafią jednak przywyknąć do niewoli i ostatecznie czują się dobrze w niegodnych warunkach pokojowego bytu. Oto np. w jednej z najbliższych klatek siedzi obrzydliwy pawian; głowa jego przypomina równocześnie łeb świni i psa,

lecz w osadzonych głęboko oczach czai się wyższa, niżeli psia, złośliwa inteligencja. Posiada on wstrętne czerwone opuchlizny na zadzie, które można byłoby poczytywać za rodzaj choroby; ale są one bezwątpienia jeno znamionami gatunku i wśród pawianów taki pośladek uchodzi prawdopodobnie za osobliwy przywilej, zdolny do wywoływania uczuć miłosnych. Ten, którego tutaj widzimy, jest to pawian, pogodzony z losem, który sobie niczego więcej nie życzy, a tego radosnego poranka całkiem wesoło spogląda przez kraty. Ale oto małpka z innego gatunku poruszyła się w klatce sąsiedniej wówczas nasz pawian podchodzi do przegrody pomiędzy obu klatkami, wyciąga przednią łapę po przez sztaby, i oto — dziw! — mały sąsiad postępuje podobnie i obie te istoty dotykają się wzajem. Było to na prawdę uściśnięcie dłoni, powitanie ranne. Czyżby małpy nauczyły się tego już od ludzi? Albo może takie wytworne formy obcowania towarzyskiego istnieją także w oddalonych lasach ich ojczystej krainy? Oto przechodzi dozorczyńni z wiadrem, w którym mieści się jadlo, i nawołuje poufnie pawiana: „Dzień dobry, czakerli!“ — na co czakerli albo mówiąc właściwiej czakma (*Cynocephalus porcarius*), jej także po przez kraty podaje łapkę.

Zadziwiającym jest stosunek pomiędzy dozorcami i zwierzętami w ogrodach zoologicznych. To że owe bydelko życzliwie śpieszy na spotkanie ludzi, od których zależy w każdej potrzebie — nie powinno budzić zdziwienia. Ale uderza nas to, że pielęgniarki są tak czuli względem zwierząt, płazów i ptactwa, a przecie mają tyle trudu i udręki z nimi, zwłaszcza przy usuwaniu nieczystości. Chłopcy i baby o szorstkim wyglądzie, napewno niezbyt wykształcone, gdyż inaczej przecie wołałoby to objąć służbę dworską lub guwernerować dzieciom rodzin zamożnych; ci chłopcy i dziewczęta otaczają czuлыми staraniami, bez cienia niecierpliwości, owe zwierzęta. Skądże to pochodzić może? Czy nie stąd bodaj, że zwierzęta bywają skłonne do wdzięczności, jaką zaledwo rzadka i z trudem znaleźć można wśród ludzi?

Doskonały stosunek przyjaźni zawiązał się np. pomiędzy małpą Mayą i jej dozorczynią. Maya jest szympansem - samicą, w pewnych momentach wstrząsająco podobną do ludzi. W swojej towarzyskości zbliża się też Maya najbardziej do człowieka. Posiada zatem własną dozorczynię, właściwie mówiąc, damę do towarzystwa. Maya nigdy nie może być sama; opuszczona na chwilę płacze, jak małe dziecko — tak przynajmniej opowiada jej towarzyska. Jest to kobieta o całkiem mądrym spojrzeniu, a przecie to stałe obcowanie z małpą nie wydaje się jej męką. Maya jest wesoła i dobrodusza, skłonna ustawicznie do figłów, oraz pełna miłości namiętnej do kobiety, która dzieli z nią więzienie w obszernej klatce. Biedna małpa na całym świecie ma tylko tę jedną biedną kobietę, a ta biedna kobieta może ma jedynie tę małpę. Nie bacząc na swoje szelmowskie wybryki, Maya umie być posłuszną i łagodną; nieraz widzi się, jak pielęgniarka pochlebstwami pociąga ku sobie zwierzę i puści je serdecznie. Jej zdaniem, szympansica nie jest brzydką; owłosione ciało, płaska twarz małpia z nosem wkłęsłym i szara jej barwa nie budzą wstrętu w dozorczyńni. Przeciwnie, wzrusza ją słabość małpki, pochlebia jej przywiązanie Mayi; rada jest, iż stała się dla niej niezbędną. Na tej podstawie opiera się miłość wzajemna tych dwu istot ku sobie, jakgdyby obie należały do jednego gatunku.

Jeden i ten sam gatunek? Wszakże w zachodniej Afryce są plemiona, które w przedziwnym zamęcie: *hysterm* — *proterm*, twierdzą poważnie, iż szympansy były niegdyś ludźmi, ale skutkiem złych nawyków, dziedzicznych z pokolenia w pokolenie upadły tak nisko aż ich plemię murzyńskie przeobrażało się w ród małpi. Jakich granic ludzkości sięga naprawdę ta ciemna legenda? Ba, w tym samym ogrodzie zwierzęcym — i ludzkim ujrzeć można także współziomków Mayi: negrów z Afryki Zachodniej, ze Złotego Wybrzeża. Tak jest, przeszczeptiono na nasz grunt całą wioskę Aszanekę z lichymi chatkami, mężczyznami, kobietami, dziećmi, słowem — całe rodziny z ogniskiem domowym, zbroją i dobytkiem.

I oto już na nic innego spoglądać nie chcemy. Tapir i wielbłądy, lisy, wspaniałe słonie, próżne papugi, mrużące w rowach

niedźwiedzie, borsuk, cały napowietrzny ptaszyniec o barwnych szykach i krzykliwych gardziolkach, wreszcie wszystko to, co jeszcze tu w ogrodzie o poranku wrzeszczy i skrzeczy — wszystkie gatunki zwierzęce zgola już nie pociągają naszych oczu. Z posród krzaków i drzew ogrodu wynurzył się człowiek.

Są to ludzie z epok pierwotnych, acz dziś równocześnie z nami wędrują po ziemi. Wszystko współistnieje zawsze. Prawdziwi ludzie z czasów przedhistorycznych, znani ze swojej głupoty i okrucieństwa, odznaczający się dzikością, która w gruncie rzeczy jest tylko strachem — stoją przed nami ze swymi prymitywnymi warsztatami pracy, dziecinna sztuką, prostacką wiarą. Znajdują się oni dopiero na progu naszych dziejów, a kiedy patrzmy na nich, widzimy wyraźniej, jak daleko uszliśmy naprzód, oraz ile już wiemy o tym, co jest dobre, a co jest złe.

O wczesnym ranku siedzą mężczyźni ze wsi Aszanckiej w gospodzie i popijają wino i wódkę. Oto pierwszy i najstrasliwszy dar kultury. Aszanci są to chłopcy rosłe, wytrwali i zylaści, postaci jakby z brązu wykute, o szczękach potężnych, pulchnych wargach, czarnych kędzierzawych włosach na czerepach. Niezwykle niejedną z nich minął się ze swoim powołaniem, skoro dzisiaj zezwala tak łagodnie, aby go dzieci białych oglądały. Wszakże przeznaczony był do napaści na inne plemiona murzyńskie, zaprawiony do pustoszenia i mordów w najsurowszych formach walki o byt, jakie znamy. I bodaj doznać musiał zdziwienia, kiedy pozostawił już za sobą, brzeg ojczysty, że nie każą mu służyć w roli eunucha sułtanowi w Marokko. Gdy widzimy ich obecnie, jak zasiadają przed chatami, jak kuja żelazo, tkają i uprawiają inne rzemiosła, to trud ich wydaje się nam bylejakim, napoly leniwym przepędzaniem czasu. Albowiem właściwą ich pracą jest wojenka.

Robota twórcza w dobie pokoju stanowi zadanie kobiet. Kobieta jest jucznym zwierzęciem; winna dźwigać na plecach dzieci długo jeszcze po urodzeniu, co nie zwalnia jej od innych ciężkich robót. Oto przykucnęła tam przy ognisku, rąbie drzewa, kraje mięswo, gotuje. Zawinięte w chustę, przewieszoną przez szyję na nagi kark matczyny, śpi i marzy sobie dziecię murzyńskie, niby książętko w słodkim zaciszu pałacu. A kiedy miękki maleńki policzek ociera się o płeć rodzicielski, jest to z pewnością największa rozkosz życia dla biednego pociągowego zwierzęcia — matki. Albo jeżeli chciwy pyszczek ssie mleko z obwisłych wórow piersi i brunatne rączki wyciskają sok żywicy, — coż może równać się z takim szczęściem? Bo przecież to jest także Maya, która powstaje z ciała i krwi pielęgniarki. Inne dzieciaki z wioski Aszantów zlaży już z płeców matek, kołyszą się na chwiejnych nóżkach, szwędają się tam i sam całkiem gołe poczynają już gaworzyć w dialekcie Odszi i opalają się na słońcu. A starsze dzieci rozbudzone oczyma poglądają na świat tak niepojęty dla ich ojców. Oto każde z nich dwójgiem nagich stóp wkroczyło skokiem w sam środek cywilizacji, od której naprzód brnąć będą ze zrozumieniem tylko łakocie, później przejmą może tylko występki. Obecnie automat, z których wypadają czekoladki i różnego rodzaju tandeta, kiedy wrzuca się monetę w otwór i naciska guzik, przy tych zagadkowych szafkach — oddają hołdy podobne czci dla fetyszów. Przecie niektóre z tych dzieci postąpiły naprzód tak daleko, że upatrują prawdziwy fetysz, już nie w szafkach, ale w samej monecie. Zaprawdę, zbliżyły się znacznie do naszego sposobu ujęcia rzeczy.

Oto przechodzi przed nami młoda dziewczyna z mosiężnym półmiskiem na głowie. Ponieważ podpira go oburącz chudymi ramionami, podobna jest do amfory, odlanej z ciemnego brązu. Obok tej delikatnej dwunastoletki inna, siedemnastoletnia, sprawnia już wrazenie przekwitającej. Jej skośne spojrzenie zdradza jawnie, że prowadziła już dialogi z wężem w ogrodzie i wie coś o tym rajsko-wesołym drzewie, które uczy mądrości. Dlatego otula się starannie w kwiecistą chustę i stąpa zawstydzona na nasz widok.

Tak tego letniego ranka wieje poprzez ogród dech wieczności. Ciepłe zapachy podnoszą się z ziemi, dźwięczą z oddali zmieszane głosy zwierzęce, a my, goście, zniewoleni jesteśmy rozmyślać o tym, jak ludzie stale tracą swój piękny ogród Edenu i jak wbrew temu ostaje się on dla nich po wszystkiej czas.

Przełożył LEO BELMONT.

Dr. S. Stendig

Anglia rządzi Palestyną

Książka Adlera o Palestynie nie jest bardziej rewelacyjną od niedawno wydanej Faraga „Palestyna plonie“. Plastyczny obraz ostatnich wypadków w Palestynie, szkic genetyczny i przyczynowy oraz charakter aktualny nie odbiegają od tego, co nam w swoich dwóch książkach skreślił znany dziennikarz angielski (Por. Nr. 7 „Steru“).

Oczywiście nowszy jest reportaż Adlera. Ten bowiem już mówi o planie podziału, którego dzieje znamy dobrze z XX kongresu w Zurychu, któremu autor nie szczędzi ostrych słów krytyki. Mowa wprawdzie o nim w książce dość luźnie i ma się wrażenie, że do szkiców Błektina Księga Peela dla rewelacji raczej została dodana, ale jeśli autor pisał reportaż na 40-lecie syjonizmu nie mógł tego pominąć, bo w chwili obecnej istotnie jest sprawa podziału najważniejszą sprawą syjonizmu. Pisząc o Arabach wiele i specjalnie, o

ościennych krajach arabskich i ich udział w rozruchach oraz o roli Anglika na tle tych rozruchów, nie szczędzi Adler jawnej nagany Albionowi. Nic, że szkice są fragmentaryczne, ale dowiadujemy się z nich o arabskich skautach, o początkach rozruchów, o ich ośrodkach, o sposobie ich zwalczania przez angielskiego i arabskiego policjanta, o słynnej hawladzie, o angielskiej bezradności i rządzeniu się muftiego, o gafirach żydowskich i bezwładzie wojska, któremu Waucope nie pozwolił strzelać. Charakterystyczne, jak Anglia dawała kibucem karabiny myśliwskie do obrony, podczas gdy Arabowie posługiwali się bombami i karabinami maszynowymi z angielskich magazynów broni! Bardzo liczne błędy drukarskie (v. np. str. 73 i 74), zła korekta, mało staranne wydanie, nie umniejszają znaczenia reportażu Adlera. Stanowi on ciekawy dokument widza, w którym się wszystko burzy na widok bezprawia, ja-

kie mamy do zawdzięczenia temu, że „Anglia rządzi Palestyną“. Postępując za autorem, podróżującym w dni gorące po Palestynie, gdy nieodłącznym towarzyszem wycieczkowicza jest świst kul arabskich (począwszy od statku z którego wysiada, poprzez Hajfę, Tel Awiw, Jerozolimę, Emek itd.) bolejemy na tym, że na każdym kroku spotykamy dwóch wrogów naszej Siedziby Narodowej: Araba i Anglika. Toteż jest reportaż ten jakby krwią pisany, obficie krwią żydowską zroszony, w większym może stopniu niż reportaż Faraga, które w sposób raczej dowcipny odsłaniają kulisy angielskiego rządzenia w Palestynie. Gwoździe na szosach, strzelanie do aut, jadących pod eskortą, bomby i partyzantka, sztylet w plecy i demonstracje uliczne, strajkująca Jaffa i oblegane kibuce, przyjemna jazda koleją do Tul Kerem, ulotki i podlegania w prasie, jak by nic nie było i biwakujące wojska, któ-

remu Dill nie zezwalał na mężne odparcie ataków partyzantów i złamanie strajku w zarodku, to wszystko, to jeden łańcuch przestępstw i przekleństw tego faktu, że „Anglia rządzi Palestyną“.

Toteż gdy śledziłem z napięciem przebieg politycznej dyskusji na kongresie dokoła sprawy powstania małego państwa palestyńskiego i badałem argumenty „Ja i Neinsagerów“ wertując „Kongreszeitung“, doszedłem do przekonania, że tego rządzenia i takiego rządzenia Alhionu w Palestynie mamy dość, że tak daleko być nie może, by Żyda aresztować, gdy bronił się czynnie przed sztyletującym go w czasie napadu arabem, podczas gdy angielski policjant rozczłapywał się w Times'ach, reprezentujących zasadę, ani jednego Anglika dla Palestyny. W tym świetle szkoda było ruszać Dilla z wygodnej kanapki mieszkanka swego w Anglii! Skoro z meczetu można było jawnie i tłumnie nawoływać do świętej

wojny z Żydami, nie trzeba było żadnej dywizji posiłkowej, wysłanej na nasz koszt.

To wszystko odsłania nam Adler w swoim najlepiej napisanym reportażu, w którym — nawiasem mówiąc — każdy Żyd pisany jest małą literą i stale bez kropki nad z.

Sprawę Negusa, jego przyjazd do Palestyny i zdradę Anglii wplótł autor celowo, jak słusznie opisał osławione komunikaty radiowe rządu palestyńskiego z przebiegu rozruchów, celowo opisał bohaterską postawę kibuców, które w dzień pracowały na roli a w nocy broniły osiedli.

Reportaż Adlera można nazwać wielkim *l'accuse* pod adresem Anglii, która zdradziła Palestynę żydowską, która rozczarowała naród żydowski. To jest też sednem książki, wszystko inne, samo tłumaczenie to rzeczy uboczne.

ANTENA ŚWIATA

Prawa autorskie do kapelusza

Paryski sąd apelacyjny wydał ostatnio wyrok, który ma wielkie znaczenie dla paryskich domów mody.

Słynna firma P., uchodząca w świecie za nadającą ton modzie, wypuściła ostatnio nowy model damskiego kapelusza. Po paru dniach, jak to często bywa, kapelusz ten został skopiowany przez firmę włoską i sprzedawany po bardzo przystępnej cenie.

P. skierował sprawę do sądu, twierdząc, że skradziono mu model stanowiący własność jego magazynu. Prawa autorskie do kapeluszy i do sukien nie zarejestrowanych nie istnieją — broniła się włoska firma.

Paryski sąd apelacyjny wyszedł jednak z innego punktu widzenia. Firma włoska osądzona została za plagiat i skazana na zapłacenie 5 tys. franków kary.

Po 33-ech latach

Do 1903 roku zakonnicy zamieszkiwali historyczne opactwo Valloire. Po wygnaniu kongregacji z Francji klasztor, zawierający dużo historycznych i artystycznych pamiątek, pozostawał przez dłuższy czas bez opieki. Nieznani złoczyńcy skorzystali z tej okazji i skradli dziesięć arcydzieł malarzkich. Przez okres trzydziestu trzech lat płótna, których wartość przewyższała milion fr., uważane były za zaginione.

Opactwo zamieniono na szpital dla gruźlików i o skradzionych obrazach zapomniano.

Niedawno dyrektor otrzymał za pośrednictwem poczty dużą skrzynię, w której znajdowały się skradzione w 1904 r. płótna.

Określić dokładnie kto i z jakiego miasta nadano skrzynię na razie nie udało się.

Strajk wyborców

Między Bordeaux i Bayanne znajduje się nie wielka gmina Le Barpe, jedyna we Francji, nie posiadająca ani mera ani rady gminnej. Czterokrotnie prefekt departamentu wyznaczał wybory i za każdym razem ani jeden wyborca nie zjawił się przy urnach. Żaden z mieszkańców gminy nie chciał wystawić swej kandydatury.

Czym wywołany został ten jedyny w swoim rodzaju strajk wyborców? Otóż w 1922 roku na mocy decyzji rady gminnej na peryferiach Le Barpe palono śmiecie. Ogień przerzucił się na blisko położony las i zniszczył 2 tys. hektarów, należących do sąsiednich gmin.

Doszło do rozprawy sądowej. W ostatniej instancji gmina Le Barpe osądzona została na zapłacenie pogorzelcom 600 tys. franków.

Le Barpe — gmina biedna, nie liczy ponad tysiąc mieszkańców. Gdzie dostać taką sumę? Co prawda ministerstwo dopomogło sumą 200 tys. fr., lecz wydobyc pozostałe 400 tys. fr. było dla biednej gminy niemożliwością. Wobec czego mer i cała rada gminna podały się dn. 18.VI.1934 r. do dymisji.

Nowe wybory wyznaczono na 2.X. Lecz tego dnia wyborcy zastrajkowali i żaden z nich nie przybył głosować. Druga próba również się nie udała: w całej gminie nie było ani jednego człowieka, który by chciał zostać członkiem rady gminnej i przyjąć na siebie te olbrzymie zobowiązania. W związku z czym w czerwcu 1936 r. mieszkańcy Le Barpe nie brali udziału w wyborach posła z ich departamentu.

Na zlecenie prefekta ustanowiono „triumwirat”: z nauczyciela, inspektora skarbowego i miejscowego sklepikarza, który to triumwirat spełnia czasowo czynności mera, głównie zaś rejestrację narodzin, śmierci i ślubów.

Bunt w ziemskim raju

Rybacki przy brzegach Florydy ze zdziwieniem spostrzegł na pełnym morzu łódkę żaglową, której żagiel zeszyty był z przeróżnych szmatek kolorowych, koszul i innych części bielizny.

W łodzi tej znajdowało się czterech prawie nagich ludzi, amerykańków, dziwnie wymęczonych długim pływaniem, głodem i pragnieniem. Ludzie ci uciekali z „ziemskiego raju”, jaki mieli zamiar stworzyć na wyspie Suag, w grupie wysp Bagańskich. Amerykanie twierdzili, że w odległości 200 km. od Kuby znaleźli oni ziemię na której można żyć zupełnie bez pracy. Klimat tam jest bardzo łagodny, drzewa cały rok dają owoce, w morzu pełno ryb, w lasach są źródła świętej wody.

Na początku kolonia kwitła. Radio utrzymywało kontakt ze światem cywilizowanym, a wieczorami słuchano muzyki z florydzkich radiostacji. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie tubylcy, którym nie poszedł w smak najazd białych. Najprzód zaczęli się nieporozumienia, aż doszło do formalnej wojny. Jeden amerykański został zabity, a tubylcy zniszczyli obóz białych.

Amerykanie musieli uciekać na swej motorówce, lecz motor w czasie ucieczki popsuł się. Trzeba było zrobić żagiel z ubrań i koszul i tylko w ten sposób udało się uciekinierom z „ziemskiego raju” dopłynąć do Florydy.

Negus w Paryskim sądzie

Przed ucieczką z Addis - Abeby negus Haile Selassie zabrał ze sobą między innymi kosztownościami, osiem tysięcy akcji franko-abisyńskiej linii kolejowej. Akcje te są imienne i stanowią własność rządu abisyńskiego.

Kiedy nastąpił termin wypłaty kuponów negus przedstawił akcje te dyrekcji Franko-etiopskiego towarzystwa w Paryżu.

Niestety — oświadczyła dyrekcja — nie możemy wypłacić kuponów albowiem rząd włoski nałożył areszt na te sumy. Akcje stanowią własność rządu Etiopii, a w obecnej chwili rząd ten stanowią Włochy...

Oczywiście, że negus nie podziela tego punktu widzenia: Francja dotychczas nie uznała podboju Abisynii, wobec czego negus jest oficjalnym szefem rządu etiopskiego.

Spór ten, w którym powództwo dochodzi do 30 milj. franków, zostanie rozstrzygnięty 12 października.

Wydobywanie „Piotra Wielkiego”

W pobliżu rumuńskiego portu Balezky rozpoczęto prace nad wydobywaniem z zatopionego w czasie wojny domowej, rosyjskiego okrętu „Piotr Wielki”. Równocześnie z sowiecką flotyllą przybyło 76 inżynierów, którzy prowadzą te roboty. Wicecy nurkowie ustalili głębokość morza w miejscu, gdzie utonął okręt. Według oświadczenia Maksimowa (kierownika prac), roboty trwać będą półtora miesiąca i w połowie października „Piotr Wielki” zostanie wydobyty i skierowany do Odessy. „Piotr Wielki” wykończony został w 1913 r.: był to duży szpitalny okręt o 800 łózkach. W czasie wojny domowej okręt ten był w posiadaniu Wrangla i służył w ostatnich czasach do przewożenia uciekinierów. Dla tego też zrobił kilka rejsów do Warny.

Do ostatniego rejsu „Piotr Wielki” wypłynął z Sewastopola kierując się do Bułgarii, dopłynął do rumuńskich wód i niedaleko portu Balezky zatonął.

J. Ernicz-Homańska

Muzyka a wywczasy

Od kilku lat Warszawa w okresie letnim całkowicie pozbawiona jest muzyki poważnej.

Tym niemniej prawie nikt nie uskarża się na ten brak; jeśli nawet od czasu do czasu odzywają się jakieś utyskiwania (np. „Seka” w „Kurierze Warsz.”) — są to głosy niezmiennie rzadkie i całkiem odosobnione.

Takie już obecnie to czasy, że mało kto garnie się do muzyki, wówczas gdy tej muzyki ma się wbród, jak w sezonie zimowym, i nikt nie tęskni za muzyką, wówczas gdy jej brak całkowicie.

Nawet utarte mniemanie, że najwięcej ceni się to, czego się nie ma — w tym wypadku zawodzi w zupełności.

Pęd ku sporom co raz silniej wypiera zainteresowanie dla sztuki poważnej. A ponieważ w naszym klimacie lato najwięcej nadaje się do wszelkiego rodzaju wyczynów sportowych na otwartym powietrzu — nie więc dziwnego, że podczas gdy na meczach i różnych zawodach olbrzymie stadiony i boiska zapelniają się do ostatniego miejsca — o muzyce nikt nawet nie pomyśli, jakgdyby sztuka całkiem istnieć przestała wobec kultu sprawności fizycznej.

Dawne kroniki przedwojennej Warszawy mówią o zupełnie innym stosunkowaniu się do muzyki szerszych sfer publiczności: zimą sale koncertowe i widowiska operowa zapelniały się nieomal tak, jak dzisiaj tereny igrzysk sportowych, zaś letni sezon koncertowy w Dolinie Szwajc. w niczym nie ustępował zimowemu sezonowi filharmonicznemu. Zazwyczaj cyklem koncertów dyrygował kapelmistrz zagraniczny, umyślnie na ten cel przybyły do Warszawy, solistami bywali także i najslawniejsi w świecie artyści.

Gdy przed kilku laty, orkiestra Filharmonii warszawskiej chciała wznowić tradycję letnich koncertów symfonicznych w „Dolinie Szwajcarskiej” — próba ta poniosła zupełne fiasko. Okazało się, że na pierwszych kilka wieczorów sprzedano za ledwie parę biletów, a na jeden koncert nawet nie został wykupiony ani jeden bilet... Wobec tego oczywiście trzeba było

Przyczyna katastrofy pozostała niewyjaśniona. Według jednej wersji okręt natknął się na minę, według drugiej został zatopiony przez złoczyńców, którzy usiłowali zawiadnąć znajdującym się na okręcie złotem. Albowiem uciekinierzy wieźli z sobą dużo kosztowności.

Okręt utrzymał się po katastrofie jeszcze 24 godziny na wodzie, dzięki czemu udało się uratować zarówno pasażerów, jak i załogę. Teraz podjęte prace mają za cel wydobyć z głębin morza wszystkich bogactw.

Dziecko jako przesyłka pocztowa

Do San-Francisco przybył przed paru dniami sześciolatek chłopczyk Artur Koch, który podróżował z Niemiec do Ameryki w charakterze „przesyłki pocztowej”. Z tyłu na palcu jego naszyty był kawałek płótna z napisem: Pani J. W. Elliot dla Katarzyny Koch, 5334, Greta — avenue San-Francisco U. S. A.

Matka Artura Kocho, mieszkanka Hamburga, wyemigrowała w roku ubiegłym do Ameryki. Nie wiedząc czy uda jej się tam urządzić, zostawiła ona swego syna na opiece krewnych. Niedawno napisała ona do nich, że zarabia dostatecznie na utrzymanie dziecka, lecz nie jest w stanie zapłacić za jego przejazd.

Krewni udali się do dyrekcji niemieckiej linii okrętowej i oświadczyli, że chcą wysłać dzieciaka... pocztą. Wziąwszy pod uwagę materialny stan matki, dyrekcja zgodziła się, tym bardziej, że przepisy pocztowe przewidują możliwość przesyłania w charakterze paczek pocztowych zwierząt, nie wykluczają więc możliwości wysyłania w tym charakterze dzieci.

Podróż na okręcie z Hamburga do New-Yorku odbył mały Koch w przedziale pocztowym, gdzie jadł i spał. Chłopczyk był rozrywką dla całego okrętu: pasażerowie bez przerwy go fotografowali i nawet zbierali jego autografy.

W New-Yorku przewieziono chłopczyka w pocztowym samochodzie z przystani na dworzec kolejowy i umieszczono go w pocztowym wagonie, w którym przejechał cały kontynent ze wschodu na zachód. W San-Francisco oczekiwała chłopca matka, której oświadczył, że bardzo był zadowolony z podróży, tylko, że się za bardzo do niego „przystawiano”.

(L—y)

Salzburg ściągający latem rokrocznie niezliczone rzesze turystów, chlubi się nie tylko malowniczym położeniem, i piękną naturą, ale także i tym, że jest miejscem urodzenia Mozarta.

Jak wiadomo, dziwną ironią losu, grób Mozarta, zmarłego w Wiedniu, i pochowanego na cmentarzu wiedeńskim, jest nikomu nie znany.

Tak samo jak śmierć Mozarta pozostaje otoczona niewyświeconą dotąd tajemnicą: niema bowiem pewności, czy Mozart zmarł śmiercią naturalną, czy też został otruty przez swego konkurenta — muzyka włoskiego Salieri — tak samo miejsca jego pochowania nie udało się dotąd nikomu odnaleźć.

Historia twierdzi, że Mozart, umierając w biedzie, został pochowany we wspólnym grobie. Wskutek złej pogody, zawięj śnieżnej w dniu pogrzebu Mozarta (było to w grudniu 1791 r.), nieliczna garstka najbliższych przyjaciół nawet nie odprowadziła trumny do samego grobu; zaś jedyny grabarz, który trumnę zakopywał, zmarł w kilka dni potem.

Zona Mozarta, Konstancja, w ogóle nie była na pogrzebie; chora w tym dniu, leżała w łóżku. A gdy po kilku dniach udała się na cmentarz, celem odszukania grobu swego męża — nikt nie umiał jej tego miejsca wskazać.

Jakże dziwnym wydaje nam się dzisiaj taki pogrzeb nieśmiertelnego muzyka, jednego z największych geniuszów jakich wydała historia muzyki; zwłaszcza jeśli przypomnimy sobie uspaniał, iście królewski pogrzeb Karola Szymanowskiego, którego tak niedawno byliśmy świadkami.

Jakby dla skompensowania krzywdy, wyrządzonej doczesnym szczytkiem nieśmiertelnego twórcy przez jego współczesnych, rodzinne jego miasto, Salzburg, urządziło stałe ku czci Mozarta festiwale muzyczne z udziałem pierwszorzędnych artystów z całego świata.

Samo nazwisko Artura Toscaniniego, najznakomitszego w świecie kapelmistrza, jest gwarancją poziomu wykonawczego przedstawienia „Fletu zaczarowanego”.

Już od pierwszych taktów uwertury, czuje się prąd ożywczy, płynący od batuty ku orkiestrze i wszystkim wykonawcom.

Toscanini daje tempo żywe, pełne ognia, np. w uwerturze nawet cokolwiek żywsze niż inni dyrygenci; widać, że sędziwy misz zachowuje nadal młodzieńczy temperament i świeżość porывów artystycznych.

Gdy chodzi o zespół śpiewaków, to prawdę powiedziawszy, nie wszystkie głosy miały tyle blasku i płynności legata, którymi na ogół olśniewają transmisje z Włoch, jeśli nawet „królowa nocy” w kulminacyjnym punkcie arii z I-go aktu „skisowała”, jak się to mówi fachowo „ucięła koguta” na ja trzykrotnym — to jednak niezwykle fałszywość wykonawców „Fletu zaczarowanego”, i ich umiejętność utrafitenia w styl mozartowski, tak niesłychanie trudny dla wokalisty, były źródłem wielkiej satysfakcji artystycznej dla słuchacza.

Orkiestra Filharmoników wiedeńskich brzmi zawsze wspaniale: zarówno pod dyrykcją Toscaniniego we „Flecie zaczarowanym”, jak i pod pałeczką Bruno Waltera w dziełach symfonicznych.

Bruno Walter, znany w świecie jako jeden z najlepszych i najbardziej zapatonych odwrótców Mozarta, poprowadził dwie symfonie: D-dur i Es-dur, muzykę baletową p. t. „Les petits riens” i koncert fortepianowy C-dur z udziałem pianistki Iwonne Lefebure.

I istotnie, taką śpiewność smyczków, tyle ciepła w brzmieniu wszystkich grup orkiestrowych, oraz takie wyczulowanie wszystkich ozdobników i figurek, od których roi się muzyka Mozarta — potrafi osiągnąć chyba tylko tal: entuzjastyczny wielbiciel Mozarta, jak Bruno Walter.

TEATR „NOWOŚCI”, Bieleńska 5
Tel. 340-55 dyr. 285-86 kasa

ŻYDOWSKA SCENA NARODOWA

Kierownik lit.-art. Andrzej Marek
Otwarcie sezonu 1937—38
Codziennie punkt. 8.45

WIELKI SPEKTAKL NARODOWY

S A D

(Z obecnego życia palest. Sulamit Batdori, przełożył z żyd. A. Cejlin)

Reż. LEOPOLD LINDTBERG
Dek. A. SAWO
Kier. muz. H. RUBIN

K I N O

„ŚWIATOWID” „BURGTHEATER”

„Burgtheater”, wiedeński film Willy Forsta przypomina dawne filmy niemieckie z czasów ich złotego okresu. Bezwzględnie w filmie tym różne rzeczy muszą razie „współczesnego widza” — przede wszystkim: pewne teatralne chwytły reżysera, pozornie przypominające dawną przebrzmiałą technikę. Ale to tylko pozór. Bo to, na co pozwolił sobie Willy Forst jest raczej śmiałością. Na plan pierwszy wysunął on aktora, a raczej jego mimikę, może teatralną, ale jakże wyrazistą, jakże przejmującą. Ope-rując właśnie dynamiką gry i wyrazu, którym nie potrzebne jest ani żadne tło, ani żadne słowo, dał film, może nie pozbawiony błędów, chwilami zbyt przewlekły, ale w swej istocie — ciekawy.

Gra aktorów, szczególnie tego „starego pokolenia” — Olgi Czechowej i Hansa Mosera, którzy widocznie dobrze czuli się w tym filmie, stała na najwyższym poziomie. Hans Moser dał jedną z najmocniejszych sylwetek. Scena przed lustrem, przykra i bolesna w swym tragiźmie, sprawia nieprzemijające wrażenie.

Para młodych aktorów: piękna Hortense Raky i Willy Eichenberger dała dużo pięknych momentów.

EUROPA.

„PANOWIE Z TOWARZYSTWA”

Nowa komedia Van Dyke’a posiada wszystkie znamiona filmów tego doskonałego reżysera. Zwarte błyskotliwe tempo, gładki przebieg akcji, dowcipne dialogi — jednym słowem to wszystko, co charakteryzuje dobrą komedię amerykańską, której głównym przedstawicielem obecnie jest właśnie Van Dyke Film, jak zwykle tego rodzaju komedie rozgrywające się w sferze „górnego tysiąca”, nie wychodzi po za ramy charakterystycznych „interview’ów” tejez wykwintnych salonów, eleganckich przyjęć i t. d. Film posiada jednak parę oryginalnych pomysłów, ujętych i przeprowadzonych z amerykańską techniką i łatwością.

Jean Harlow, jak zwykle w tego rodzaju rolach, pełna temperamentu i prawdziwego dowcipu. Patrząc na ten film, staje się nam dziwnie smutno, kiedy sobie przypominamy, że ta urodziwa zdolna aktorka już nie żyje.

Robert Taylor miał momenty bardzo dobre, wykazując niefalszowany, a jednak pełen kulturalnego umiaru, temperament. Nad program dodatek muzyczny z młodocianą śpiewaczką koloraturą, Deannę Durbin.

T. S.

Odpowiedzi redakcji

FENIKS CZ. (CZORTKÓW): Wiersze zdradzają uzdolnienia poetyckie, wiele w nich jednak koturnowych słów i niepotrzebnego balastu w obrazowaniu i metaforze.

EUG. H. (MIZOCZ): Słabe.
DR. E. M. (TARNÓW): Tym razem skorzystać nie możemy. Prosimy o inne prace.

A. B. (PINSK): Nie skorzystamy.
M. EJ-BERG (SZYDŁOWIEC): Za miłe słowa serdecznie dziękujemy. Wiersz słaby.

MGR. J. K. (KRAKÓW): Przekłady zachowaliśmy w tece.

M. SZ. (ŁÓDŹ): Artykuł zbyt ogólnikowy.

M. W. (LWÓW): Wydrukujemy w jednym z najbliższych numerów.

L. M. (KATOWICE): Nie do druku.

S. P. (KALISZ): Wiersz pozbawiony wszelkich wartości.

R. B. (KRAKÓW): Zamieścimy po dokonaniu koniecznych zmian.

